
Listy Władysława Stanisława Reymonta do brata

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej 60/2, 161-209

1969

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez **Muzeum Historii Polski** w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

LISTY WŁADYSŁAWA STANISŁAWA REYMONTA DO BRATA

Opracowała

BARBARA KOCÓWNA przy współudziale ZYGMUNTA JAKIMOWICZA

Odnalezione w setną rocznicę urodzin Reymonta listy jego do brata, Franciszka Rejmenta, zostały zakupione przez Bibliotekę Narodową w Warszawie (sygn. 7593, t. 1—2). Z ogólnej liczby 68 listów, pochodzących z lat 1883—1902, wybrano do publikacji 30. Obejmują one okres od osobliwego „debiutu” Reymonta w „Kurierze Warszawskim” (1883), aż do druku *Ziemi obiecanej* w „Kurierze Codziennym” i „Nowej Reformie” (1897).

W listach tych możemy prześledzić proces narodzin pisarskiego talentu. Widzimy w nich nadto walkę o byt jednostki, pozbawionej normalnych możliwości rozwoju intelektualnego. Bardziej niż pospolita bieda trapi Reymonta niedostatek wiedzy. Jego perypetie zawodowe na Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, w teatrach wędrownych i w pracowni krawieckiej Konstantego Jakimowicza zdradzają człowieka pełnego temperamentu, obdarzonego ostrym widzeniem otaczającej rzeczywistości, a przy tym zaprzątniętego ambicją zdobycia dla siebie takiego miejsca w społeczeństwie, jakie by równoważyło wcześniejsze klęski i niepowodzenia. Powstaje m. in. zamiysł wstąpienia do seminarium — nie zrealizowany. Podobnie przejściowe tylko jest zainteresowanie obietnicą zagadkowego związku spirytystów. Przenoszenie się ze szkoły do szkoły i z zawodu do zawodu świadczy nie tylko o tym, że Reymont nie zdobył patentu dojrzałości i że długo nie znajdował odpowiedniego dla siebie zajęcia; świadczy także o tym, że długo nie znajdował dla siebie autorytetu, a bardziej jeszcze zrozumienia dla swoich zainteresowań literackich.

Przyszłł na świat w środowisku o niejednolitych tradycjach rodzinnych. Matka, Antonina z Kupczyńskich, z pochodzenia szlachcianka, była córką Piotra, administratora majątku księdza kanonika Szymona Kupczyńskiego (rodzonego brata Piotra). O jednym z braci Antoniny, Leonie, wiadomo, że za udział w powstaniu 1863 r. został zesłany na Syberię. Mając lat 16 Antonina wyszła za mąż za organistę, Józefa Rejmenta. Mówi się, że Rejmentowie byli chłopami. W każdym razie na ich dobro liczy się to, że zdołali wykształcić pięciu synów. Zajmowali się przeważnie administracją majątków, a dwu aż z nich zostało organistami. Popularność tego zawodu wśród Rejmentów była uzasadniona, gdyż chronił przed służbą wojskową. Ojciec pisarza był człowiekiem dość zamożnym. Mimo licznej rodziny (dziewięcioro dzieci) kupił młyn i włókę ziemi. Widocznie jednak brak talentów gospodarskich i wczesna śmierć żony (1890) spowodowały, że w domu panował niedostatek.

Reymont był ciekaw świata i ludzi. Małżeństwo najstarszej siostry, Katarzyny, z Konstantym Jakimowiczem, właścicielem magazynu krawieckiego w Warszawie, otworzyło młodemu Reymontowi drogę do dużego miasta. Trzeba dodać, że K. Jakimowicz był synem szlacheckim, a niezależnie od pochodzenia — miłośnikiem

teatru i muzyki. Nb. rodzonym wujem Konstantego (bratem jego matki) był Włodzimierz Wolski.

Powyższy wywód ma na celu przypomnienie, że najbliższa rodzina Reymonta uczestniczyła w doniosłych przeobrażeniach społecznych, które ogarnęły liczne środowiska w drugiej połowie w. XIX w Polsce.

Bardzo ciekawie przedstawia się też postać brata pisarza, Franciszka, farmaceuty w Nadarzynie. Kształcił się na lekarza w Kijowie, usunięto go jednak z uniwersytetu za udział w tajnej pracy związków młodzieżowych. Nie bez wpływu na młodszego Stanisława (takie imię było używane w domu) pozostała ta sfera działalności politycznej. W ocalałej korespondencji pisarza są ślady żywych kontaktów z Marianem Bohuszem (Józefem Potockim), założycielem „Głosu”. W ogłoszonych tu listach Reymont nieraz powołuje się na swoją współpracę z „Głosem”, którą sobie bardzo ceni. Warto też może przypomnieć, że autor *Ziemi obiecanej* był zaprzyjaźniony i skuzynowany z Walerym Karwińskim. Miał więc możliwość wczesnych, choć raczej nie bezpośrednich kontaktów ze Stefanem Żeromskim.

Tekst listów Reymonta do brata został zmodernizowany, zwłaszcza w zakresie interpunkcji. Poprawiono też nieliczne błędy ortograficzne, znajdujące się w listach najwcześniejszych. Zachowano natomiast pojawiające się czasem wyrażenia gwarowe.

1

Warszawa, dnia 20 października 1883 roku

W kwestii *à la* Ira-Paine w dopisku ostatniego listu¹ wspomniałem Ci o popularności, jaką miałem się cieszyć z powodu wyżej wzm[i]a[n]-kowanego *à la* Ira-Paine. Lecz, czy to wskutek roztargnienia lub jakiejś innej przyczyny ode mnie niezależnej, rzecz w rzeczywistości tak błahą przedstawiłem Ci w jakimś ogólnikowym, tajemniczym świetle. Nic przeto dziwnego, iż po przeczytaniu nie mogłeś się zorientować w pogmatwanej mieszaninie słów bez związku. Moim jest przeto obowiązkiem objaśnić Cię nareszcie. W numerze z dnia 2 t. m. „K. Warszaw.” zamieszczony był logogryf do rozwiązania. Rzeczą jest zwykłą u mnie, że czytam co do joty szpalty „Kurier”, i tą razą czytając także, zauważyłem ten lakoniczny tytuł jednej z wiadomości: *Warszawski Ira-Paine*, a którą Ci prawie dosłownie powtarzam²:

...pozazdrościli Warszawianie laurów kapitana i jego uroczej *miss*.

Oto jeden z zamożnych obywateli wpadł na pomysł, czy by nie można dojść do tejże samej wprawy w strzelaniu co wzmiankowany kapitan. Silna wola zawsze prowadzi do celu, powiedział sobie i wziął się do nauki, a tak z systematycznie równym zapałem, że po dwóch tygodniach z równą celnością trafiał tak w kulki drewniane w biegu wahadłowym będące, jak w ziarno winogrona umieszczone na głowie manekina...

Otóż to w tym leży przyczyna; pan ów chętnie byłby, a jak do-

nosili, koniecznie się starał, żeby mu kto chciał zastąpić manekina. Gdy wzmiankowany logogryf rozwiązałem, napisałem łącznie przy nim kilka słów do redakcji, w których prosiłem o wskazanie mi za pośrednictwem odpowiedzi miejsca zamieszkania tego pana. Z kró[t]ką wzmianką, że zgadzam się panu *.* zastąpić manekina.

Dosłowna odpowiedź z porannego wydania. Na stronie 3, w drugiej szpalcie, co następuje ³.

Ryzykowna propozycja

Rozwiązującym łamigłówek szczególne czasem przychodzą pomysły... Jeden z czytelników naszych, który rozwiązał logogryf umieszczony we wtorkowym numerze, nadesłał nam wraz z rozwiązaniem propozycję, która jest prawie... samobójczą. Ofiaruje się on odegrać tę samą rolę, jaką w tragedii Szyllera odgrywa synek Wilhelma Tella, a Tellem ma być ów obywatel, który, jak donosiliśmy, wprawił się w strzelanie na wzór kapitana Ira. — Obywatel ten dotychczas w braku żywego celu umieszcza nie tellowskie jabłko, lecz orzech na głowie manekina i strąca go kulą, nie wyrządzając manekinowi najmniejszej szkody. Obecnie p. S. Rejment ⁴ chce manekina zastąpić i stanąć przed niepospolitym strzelcem jako żywy cel...

Zabawka tego rodzaju mogłaby się stać „łamigłówką” w dosłownym znaczeniu wyrazu, gdyż potrzeba tylko najmniejszego drgnięcia podczas wystrzału, albo ręki, która strzela, albo osoby służącej za cel, ażeby czaszka tej ostatniej została nadwerżona.

Odwaga w każdym razie godna lepszej sprawy.

Tak mi odpowiedzieli, swoim porządkiem nie dając adresu.

O s a d ź s a m, jak Ci się to podoba. Odpisz jak najprędzej o stanie rolnym w Waszej okolicy. Telegram C i p o s y ł a m.

Twój brat *S. Rejment*

A gdy myśl tęskna zawiśnie u czoła
za ideałem przez serce wybranym,
to biegnę spojrzeć w oblicze anioła,
idę usłyszeć jej głos srebrny, czysty
i ujrzeć włosów jedwabnistych sploty,
a później w pieśni, w pieśni wiekuistej,
hołd swój jej cześci na woty ⁵.

¹ Jest to najwcześniejszy wśród ocalałych list Reymonta. Pisarz był zameldowany w Warszawie już w r. 1880, zatem listów z wcześniejszego okresu mogło być dość dużo.

² „Kurier Warszawski” 1883, nr 256. Rejmont wiernie podaje bratu treść interesującego go tekstu z „Kuriera”, ale nie cytuje dosłownie.

³ Jw., nr 258. Podobnie jak wyżej, nie jest to cytat dosłowny.

⁴ Nb. nazwisko w odpowiedzi redakcji oznaczono kryptonimem „S. R.”. Przy ogłoszeniu rozwiązań logogryfu (jw., nr 260) zniekształcono je, podając: „S. Rejnert”, o czym z pewnością zadecydował niewyraźny podpis.

⁵ Wiersze Reymonta zachowały się w rękopisach Bibl. Ossolineum (sygn. 6951 I, 6952 II i III). Poza tym istnieje zeszyt młodzieńczych wierszy Reymonta z r. 1885 (Bibl. Narodowa, rkps II 7597); miał on być ofiarowany pannie Wiktorii Słupskiej.

2

Warszawa, 10 listopada 1883

Kochany Franusiu.

Przebacz, że tak długo nie odpisywałem na ostatni Twój list.

A co do kwestii Ci wiadomej, a w której wiarogodność wątpiłeś, to powtarzam, że były chwile, w których gotów byłem to zrobić. Dlaczego i na co — sam nie wiem. Tyle co do tego.

Piszesz: „Rzuć do milion kroć diabłów poezję!” — To przechodzi moje siły, pozwól przeto, że w miejsce prozy, mogącej służyć za odpowiedź, napiszę Ci wiersze:

Bo jeśli śpiewam, to pieśń ta mej duszy
 Bratnią siostrzycą w boleści,
 Ni dźwięk jej zbytnią serca nie napuszy
 Dumą w życia opowieści...

Lekcje w szkole idą dość pomyślnie¹. Z samych rysunków mam same piątki. Bez przesady, pozwól, że napiszę, że stworzyłem, jak na mnie, dzieło godne dobrego przyjęcia od widzów, to jest — powiem Ci prościej — odrysowałem z fotografii Kasię. Zupełne podobieństwo jest wiernie chwycone i zamierzam ją na imieniny dać Kasi². Nie mogę przewidzieć przyjęcia, to jest, jak go przyjmą, lecz mam nadzieję, że nie będę się wstydził swoi [!] pracy.

Mamy egzamina za kilka tygodni, z tej przyczyny za mało nawet mam czasu wieczorami do nauki, żebym mógł śmiało zdawać egzamin.

Pisałem do ojca o przysłanie kilku rubli, gdyż się w rozpaczliwym znajduję położeniu. Wszystko się drze — i bielizna, i buty — a [co] dopiero mówić o braku nadkompletowych potrzeb. Odpowiedzi nie otrzymałem, nie wiem, czy list nie doszedł lub Ojciec nie może.

Kończę, ściskam Cię i całuję.

Twój brat

S. Rejm.

¹ Reymont chodził do niedzielnej szkoły rzemieślniczej.

² Katarzyna Jakimowiczowa — najstarsza siostra pisarza. Zob. B. Kocówna, *Kilka kart z życia Reymonta*. „Przegląd Humanistyczny” 1966, nr 1—2.

3

Łęczyca, 21 grudnia 1885

Droga Siostró.

Przez Oleśniewicza¹, który jedzie na święta do Warszawy, kreślę kilka słów o sobie. — Pewnie się już dowiedziałaś od Ojca albo Wołińskiego, że jestem w teatrze. Zrobiłem tak, jak mówiłem za ostatniej bytności w Warszawie. No i zrobiłem prawie z konieczności, bo sama rozumiesz, że nie mając po co być w Warszawie — gdzie tyle drogich sercu osób mam, jak mogłem być w domu, który mnie prawie niczym nie wiąże. Wierz mi, że teatr nie jest takim złem, jak go przedstawiają, a ma to dobre, że uczy żyć oszczędnie; trochę za oszczędnie, ale cóż robić. Do Ojca pisałem dwa listy, na które Ojciec uznał za stosowne nie odpowiadać; wcale nic dziwnego: aktorem włóczęgą ma się zajmować; a pisałem, prosiłem na wszystko, żeby załatwił ten znany Ci zbyt dobrze interes. Ciekaw jestem niezmiernie, co się z Franusiem dzieje; jeżeli będziesz tak dobra, to odpisz mi przez Oleśniewicza o Franku i co się u Was dzieje.

A teraz inna rzecz. Muszę Cię prosić, choć czuję, że po tylu złego wyrządzonego Wam przeze mnie nie powinienem i przy spotkaniu się z Tobą nie wiem, czy miałbym śmiałość podnieść spokojnie oczy. — Ale i złe ma koniec. Okoliczności czy jakieś fatum mnie ściga za dawne błędy: jestem chory prawie od miesiąca, ale nie tak, żebym potrzebował leżeć lub leczyć się radykalnie, ale czuję chorobę w sobie i nieomal z przestachem myślę o tym, jak bym naprawdę zachorował. — A tu bieda w całym znaczeniu tego słowa — do tego stopnia, że wyjeżdżając z Ozorkowa² musiałem zostawić za 6 rubli długu za mieszkanie i życie, wszystkie rzeczy, począwszy od spodni, co miałem od Franusia, skończywszy na bieliźnie; jednym słowem, zostałem na czysto bez niczego i bez nadziei, że będę mógł mieć podobną sumę. Do Twojego współczucia nie śmiem i nie mam prawa się odwoływać, ale jeśli Franuś jest w Warszawie, to bądź tak dobrą powiedzieć mu o tym, może jeszcze iskra współczucia braterskiego tkwi w nim — i będzie się starał wszystkimi siłami nie dać mi zginąć. A w ostatnim razie, popchnięty prawie że rozpaczą, czy mam się odwołać do Ciebie. Wiem, że kto inny w Twoim miejscu, gdybym mu zrobił tyle złego, nie chciałby słyszeć o mnie, i słusznie. A wierz mi, przysięgam na wszystko, co mi jest drogim, że ta prośba nikkzemnika o wsparcie będzie ostatnią. Przekonam Was, że i tacy podli jak ja mogą być ludźmi. Czas pokaże, że ten, na którego wspomnienie rumieniec wstydu oblewa twarz Twoją, musi się stać tym, że nawet przy wspomnieniu jego niegodziwości będziesz mogła śmiało powiedzieć: to mój brat.

Teatr to właściwe moje pole; ma się rozumieć, że teraz muszę się zadowalać rolami drugo- i trzeciorzędnymi. Na pierwszy raz grałem wójta w *Czortowskiej łaurze* — znasz ją dobrze — a w *Chacie za wsią* tańczę śliczną rolęk śpiewną. Mniejszych, jak Józka w *Gęsiach i gąskach*, administratora w *Weselu w Ojcowie*³, nie wspominam; jednym słowem, przy pracy przyszłość moja. —

Prócz do Wolińskich nie pisuję do nikogo, jeżeli więc pozwolisz, to choć raz na miesiąc będę pisywał do Ciebie; nie mam się przed kim wywnętrzyć, nie mam z kim podzielić choć listownie cierpień i szczęścia. Mam nadzieję, że Ci moje przyszłe listy przykrości nie zrobią, choć ten wiele — — —, ale wierz mi, że gdyby nie o jednej koszuli, podartych spodniach, dziurawych butach, nie śmiałbym Cię o nic prosić, doświadczywszy tyle dobrego już. Jeżelibyś mogła jakie stare po Kostusiu⁴ spodnie (*nota bene* niepotrzebne) mi przysłać wraz z tym, o co wyżej prosiłem, to z wdzięcznością przyjmę: nikczemnik w nieszczęściu godzien litości i współczucia. Przez Oleśniewicza można śmiało załatwić wszystko, to mój najlepszy kolega i przyjaciel.

Kończę — odpisz przez niego zaraz — niecierpliwie czekam skutku.

Sylwusia⁵, Zosię⁶ i Stasię⁷ ucałuj ode mnie. Stasia może by do mnie co napisała.

Całuję Was wszystkich serdecznie.

Pozostaję, Twój brat

Stanisław Rejment

¹ E. Oleśniewicz — aktor, kolega Reymonta ze szkoły i jedyny jego przyjaciel. Popęłił samobójstwo 28 XI 1888 w Sandomierzu. Reymont boleśnie odczuł jego śmierć. W dzienniku (5 XII 1888) zanotował: „Umrzeć i słowa przed śmiercią nie napisać [...], to mógł zrobić aktor, ale nie przyjaciel, współtowarzysz”. Zob. T. Burzecki, *Zygaki biografii młodego Reymonta*. „Przegląd Humanistyczny” 1967, nr 6.

² Miasto nad Bzurą w odległości 14 km od Zgierza i 12 od Łęczycy. Jest to pierwsza eskapada teatralna Reymonta. List powiększa skąpe wiadomości o życiu aktorskim pisarza. Zob. S. Kaszyński, *Reymont — człowiek teatru*. „Prace Polonistyczne” XXIV (1968).

³ J. Galasiewicz, *Czartowska ława*. — J. Galasiewicz i Z. Mellerowa, *Chata za wsią*. — M. Bałucki, *Gęsi i gąski*. — B. Kudlicz, *Wesele w Ojcowie* (1823). Poza tą ostatnią pozycją — sztuki, w których grał Reymont, były nowościami, powstały w latach 1880—1884. Zob. R. Górski, *Dramat ludowy XIX wieku*. Warszawa 1969.

⁴ Konstanty Jakimowicz (1848—1932), szwagier Reymonta, mąż najstarszej jego siostry, Katarzyny.

⁵ Konstanty Sylwin Jakimowicz (1879—1960), syn Konstantego i Katarzyny z Rejmentów, architekt.

⁶ Zofia z Jakimowiczów Borucińska (1883—1969), córka Konstan-

tego i Katarzyny z Rejmentów, żona malarza, prof. Michała Borucińskiego.

⁷ Prawdopodobnie Stanisława z Sikorskich Łęczycka, krewna pisarza ze strony matki.

4

[początek 1886 r.]

Droga Siostro.

Przebacz mi, że dopiero teraz odpisuję na Twój list i przesyłkę, za które serdecznie Ci dziękuję. Bo okoliczności nie pozwoliły mi pędzej. Po przyjeździe Oleśniewicza z Warszawy Towarzystwo nasze rozbiło się na trzy części, z tego powodu siedziałem dwa tygodnie w Łęczycy beczynn timer, nie wiedząc, przy której zostać, dopiero jedna z partii ogłosiwszy dwa ostatnie przedstawienia przyciągnęła mnie stanowczo do siebie. Wyjechaliśmy zatem po tygodniu do Turka, skąd dla braku dobrego miejsca i przecucia wątpliwego powodzenia wyjechaliśmy do o 14 mil położonego poza warszawską gubernią Gostynina, gdzie obecnie jesteśmy. Z tego powodu, nie będąc niczego pewny, nie pisałem do Ciebie, chcąc coś stanowczego napisać, co obecnie z pośpiechem robię. Grailiśmy wczoraj pierwszy raz *Skąpca* Moliera z zupełnym powodzeniem. Piszę jednocześnie do Ojca, pisałem także na imieniny Mamy¹, ale odpowiedzi nie mam dotychczas. Pisałbym do Franusia, ale nie wiem, gdzie; może będziesz tak dobrą, przy odpowiedzi załączysz jego adres.

Moje interesa dobrze dość stoją; wykupił² rzeczy, więc teraz jestem spokojny o tyle, o ile myśli na przyszłość nie zamęczają spokoju. — Handel czy idzie? I Henryk³ czy wyszedł z wojska i czy żeni się z panną Bieńkowską?⁴ Kończę, bo mi świeca się dopala. Twoje osobiste interesa jak stoją, jeśli będziesz łaskawa odpisać, to podług tego adresu.

Stanisław Rejment / W Towarzystwie Artystów Dramatycznych / w Gostyninie, Warszawska Gubernia.

W Warszawie będę na weselu siostry Oleśniewicza. Będę i muszę być z pewnością, czy do was można będzie przyjść? Może wiesz, gdzie Michałowie⁵ — co Stasia robi, nie idzie za mąż? Kończę, całuję Cię serdecznie i Was wszystkich.

Twój brat S. Rejment

Sylwuś i Zosia zdrowi?

Odpisz koniecznie. —

¹ Antonina z Kupczyńskich (1838 — 28 IX 1890).

² Dotyczy to może pomocy finansowej brata, do którego Rejmont odwoływał się za pośrednictwem siostry w liście 3.

³ Prawdopodobnie Henryk Łęczycki, może jeden z kolegów z pracowni Jakimowicza.

⁴ Bieńkowska — bliżej nie zidentyfikowana, jest wymieniona również w liście 23.

⁵ Michał Jakimowicz — brat Konstantego, mąż Marii (Mani) Rejment, siostry pisarza, ojciec Mieczysława (1883—1917), malarza z okresu Młodej Polski.

5

[Wolbórka, 3 lutego 1889]

Drogi Franku.

Udaję się do Ciebie z prośbą, ale przede wszystkim listu tego nie pokazuj nikomu, nikomu. O co mi chodzi, zaraz Ci wytłumaczę. Po przeczytaniu tego listu bądź łaskaw zaraz sięść i napisać list do mnie następującej mniej więcej treści:

„Przyjeżdżaj Pan, o ile można najprędzej, do Warszawy, tak w wiadomym interesie, który by już czas był ukończyć, jak i w sprawie Bronicza, który już kilka razy chciał telegrafować po Pana, ale nie znał adresu, a ja zaś nie chciałem mu takowego udzielić, nie chcąc narażać Pana na koszt i fatywę, lecz teraz interesa jedne jak i drugie tak są pogmatwane, że stała się nieodzownie konieczna pańska obecność do rozwikłania; Pan trzymasz wszystko w ręku, nie będę udzielał rad, jak Pan masz zrobić, boć osobiście się musimy widzieć i obgadać wszystko gruntownie, ale tylko raz jeszcze proszę o spieszny przyjazd: ja mieszkam w Rzymskim Hotelu. Szwajcar wskaże. Kończąc proszę i czekam z wielką niecierpliwością.

Dobro [?] z Pomocą

»Maska«¹

Otóż, drogi Franiu, nie sil się na rozwiązanie, do czego potrzebny mi taki list, bo nie rozwiążesz, ja sam Ci opowiem; tylko tyle Ci powiem, że jazda moja do Warszawy po odebraniu od Ciebie wymaganego listu wpłynie ogromnie na całą moją przyszłość w dodatnim znaczeniu.

Mam nadzieję, że mi nie odmówisz i zaraz napiszesz. Posyłam markę. A jeszcze lepiej by było, żeby ten list mógł Henryk lub ktoś inny napisać, Twój charakter pisma tu więcej znany.

Czekam. Czekam. Czekam.

Adresuj: / W. S. Reymont / itd.

Twój
Rejment

Wolbórka, 3 II 89

¹ Tajemniczy list przypuszczalnie dotyczy kontaktów Reymonta ze spirytystami. Prawdziwego znaczenia nabiorą one dopiero w rok później. Zob. list 6.

[Wolbórka, 14 lutego 1890]

Drogi Franku.

Zapewnie od Kasi wiesz o moim ustąpieniu z Dr. Żelaz. Nie zdziwiłoby Cię, gdybyś znał powody — ale nie będę teraz bawił się w objaśnienia; przy widzeniu opowiem dokładnie. Znalazłem się na bruku wobec wiecznego „Co dalej?” Przyznam Ci się otwarcie, że dawniej sam pragnąłem zmian miejsca otoczenia, że rozbiście się dla mnie było wyswobodzeniem, niejako odetchnięciem. Rozbiwszy się ostatni raz, było mi obojętnym, co się ze mną stanie, prócz obrzydzenia i wstrętu do życia nic nie czułem. „Będzie to, co będzie” — powtarzałem sobie. Nic nie chciałem, nic nie myślałem; wola była obezwładniona, mózg uległ przed jednym potężnym: „Po co to wszystko?” Kreślę tu swój stan psychiczny pobieżnie, nie chcąc Cię nudzić i irytować filozofowaniem, jak to Ty błędnie nazywasz.

Dość, że nie wiedziałem, co z sobą zrobić, pojechałem do domu, siedziałem tydzień nie powziąwszy nic. — W drugim tygodniu dowiedziałem się, że jest towarzystwo dramatyczne w Piotrkowie¹, pojechałem, zaangażowałem się... i co powiesz? Po kilku dniach rzuciłem, dawny czar, jaki otaczał Teatr, prysnął, dawny zapal, jaki czułem ku scenie, ulotnił się bezpowrotnie. Wszystko, co tam w sercu kiedyś drgało w tym kierunku, zagasło! Przerażali mnie ci ludzie, służący niby sztuce, swoim cynicznym wyuzdaniem, swoją głupotą, pyszałkostwem zapoznanych... kretyków, ignorancją i nieznajomością najkardynalniejszych już nie zasad etycznych i estetycznych, ale przepisów wprost ludzkich... To smutnie tak się rozczarować. Nie systematy religijne tworzą niedowiarków, ale augurzy.

Franku! Ty może zrozumiesz, co to za ból mieć duszę toczoną melancholią i być jednocześnie pożerany nigdy nie zaspokojnym pragnieniem... Czego? Albom ja wiedział? Nieraz złym, nawet wstrętnym pokazywałem się wszystkim — umyślnie. — Czułem jednocześnie ból wyzuwając się z wszystkich szlachetnych pierwiastków — i rozkosz jakąś olbrzymią, potężną sprawiało mi plwanie — jakiegoście mi nie szczędzili. Czy ja tu co winien? Chyba nie.

Bez miejsca jakiegokolwiek nie mogłem pozostać, pojechałem do Częstochowy do naczelnika tamtejszego Oddziału, który prócz nadziei nic mi więcej nie dał. A t e r a z c z y t a j u w a ż n i e.

Znałem od dawnego czasu nauczyciela gimnazjum w Często[chowie], p. Puscha², który, mówią[c] w nawiasie, bardzo mnie lubił. Poszedłem go odwiedzić, nie zastałem go w domu, lecz natychmiast zaprowadzono mnie tam, gdzie był, u niejakich Rosickich. Wchodzę, salon obszerny, osób ze trzydzieści kilka, wszyscy z jakimiś dziwnie nastrojonymi twa-

rzami mnie przyjmują, powstając z miejsc. Pan P. zbliża się do mnie i schylając głowę szepcze „bądź pozdrowiony”. Jestem zdumiony i mówię kilka słów usprawiedliwienia do pana P., ten usuwa się w głąb salonu i całe zgromadzone towarzystwo przechodzi przede mną, chyląc głowy i szepcząc „bądź pozdrowiony”. Wyobra[ź] sobie moje zdziwienie. Dopiero po jakimś czasie dowiaduję się, że się znalazłem w kółku tak zwanych spirytualistów³ i widzę przed sobą najwybitniejszych przedstawicieli tej mrzonki czy nauki w Europie przed sobą [!]. Z najznakomitszych, że tylko wymienię: dr Cyriax z uniwersytetu berlińskiego, dr Roberts z Nancy, dr Lombrosso z Bolonii, dr Philips z Paryża⁴ i wielu, których nie pamiętam. Wszyscy otaczają mnie w milczeniu. Pan P. zaczyna mi rozjaśniać, że wszyscy, których widzę, zgromadzili się umyślnie, aby mnie poznać — na takie *dictum* zrozumiesz, że musiałem zgłupieć do reszty. Jak to mnie? mnie? Ja mogłem coś o nich wiedzieć, znając ich nazwiska z literatury, ale oni mnie skąd? jakim sposobem? dlaczego? najważniejsza. Wy tłumaczono mi, że mieli powiedziane w swoich seansach spirytualistycznych, że aby na dzień 10 II 90 na godzinę 7 po południu zebrali się w Częstochowie tu a tu i oczekiwali przyjscia — tu pokazali mi opis mojej osoby w najdrobniejszych szczegółach, opis tak dokładny, że był niejako najdoskonalszą fotografią. Mnie w głowie nie na żarty zaczęło się kołować. Uspokojono i powiedziano, że jestem wybrany do głoszenia i zwyciężenia duchem — materii, że jestem następcą Swedenborga⁵, itd. Następnie, że wszystko będę musiał rzucić i poświęcić się nauce. Gdym najrozsądniej przedstawił niemożliwość z powodu braku środków i gdym przedstawił swój krańcowy materializm, swoje *credo* dekadenta, wreszcie apatię, obojętność, niewiarę, natychmiast zjawiskami z dziedziny spirytualizmu przekonano mnie o najczystszej duchowości ludzi. Następnie, porozumiawszy się z sobą, zapewnili całodzienne utrzymanie, pomoc naukową itd. Franku, nie jestem pod wpływem halucynacji, jestem przy zdrowych zmysłach, najdokładniej zdaję sobie sprawę ze wszystkiego — a jednak gdy pomyślę o tym, co mnie spotkało, w kierunku, w jakim życie moje popłynie, boję się o siebie, boję się wprost zwariować.

Ale nie! wszystko, co było, jest faktem, wszystko, co ci ludzie mi dają, jest faktem. Ci ludzie nie są tworem chorej wyobraźni, ale ludźmi najprawdziwymi. Cóż ty na to? Zrobiłżebyś to samo, co ja, tj. w tych warunkach?, tj. jechał i uczył się bez uwagi na przyszłe ich cele? W każdym razie cokolwiek bądź zrobię, chcę Twojej rady szczerzej.

Przy tym gdybym miał zapewnione tak z pięć rubli miesięczn[i]e na osobiste wydatki przez jakie pół roku, to by mi więcej nie było

potrzeba. Bo rozumiesz, że prosić ludzi, którzy i tak wiele chcą robić dla mnie, o każdy grosz, nie mógłbym, nie śmiałym.

Czy co zrobię z Ojcem w tym względzie — nie wiem. Czekam jak najspieszniejszej odpowiedzi od Ciebie, to jedno. Drugie, proszę Cię na wszystko, ten list zniszcz lub nie pokazuj go nikomu, nikomu; nie chcę, żeby się moim kosztem bawiono.

Całują Cię wszyscy serdecznie, no, ja nie najmniej.

Twój W. S. Rejment

14 II 90, Wolbórka

Adresuj na ręce Munkiewicza ⁶.

¹ To jest ostatnia wyprawa Reymonta do teatru. W 1892 r. bodaj że występował jeszcze, ale raczej tylko gościnnie.

² W autobiografii nadesłanej A. Wodzińskiemu pisarz podaje nazwisko: Puschow. Zob. J. Krzyżanowski, *Władysław St. Rejmont. Twórca i dzieło*. Lwów 1937, s. 2—8. Prawdziwa jest wersja wcześniejsza. Zob. W. Tokarz, *W rosyjskiej szkole*. „Iskry” 1925, nry 9—10.

³ Mowa o spirytystach.

⁴ Wymienione nazwiska nie zidentyfikowane. Wśród rękopisów Reymonta w Bibl. Ossolineum (sygn. 6977 I i II) znajduje się hektografowany projekt zawiązania Warszawskiego Towarzystwa Psychologicznego w 1890 r. — z myślą krzewienia idei spirytyzmu. Jest też humorystyczne ogłoszenie występu „spirytualisty i spirytysty” P. Rajmunda. Zob. T. Mikulski, *Rejmont i duchy*. W: *Spotkania wrocławskie*. Wyd. 2. Kraków 1954, s. 352 n.

⁵ Emanuel Swedenborg (1688—1772) szwedzki uczony, teozof, mistyk, twórca nowego wyznania religijnego w Anglii.

⁶ Józef Munkiewicz, zwany „Mundziem” (zm. 1927) — mąż Kamili z Rejmentów, jednej z sióstr pisarza, technik kolejowy, urzędnik Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej; w tym czasie mieszkał niedaleko Wolbórki (osady młyńskiej nad rzeką tej samej nazwy, parafia Będków, pow. Brzeziny), która była własnością rodziców pisarza.

[Wolbórka, 10 października 1890]

Drogi Franku!

Miejsca na kolei nie mam, tj. pomimo wszelkich pewności, że dostanę — nie dostałem. Tak było: naczelnik wezwał sekretarza, aby odniósł się do którego z Oddziałów i mnie pomieścił — następnie pyta się mnie, czy mam jakie kwalifikacje naukowe. (Tego zapytania przez cały czas się obawiałem.) Odpowiedziałem tak, jak jest. Stało się, com

przewidywał. Odrzekł mi, że żałuje, ale przyjąć nie może mnie, ponieważ ma tylu starających się o miejsca, z wykształceniem, więc oni mają pierwszeństwo, itd.

Bardzo słusznie, ma rację, ja sam wiem, gdybym był siedział, to byłbym był — ale tak...

Mniejsza z tym, gdybym był dostał miejsce, to coś z tego? Żadnej a żadnej przyszłości na kolei mieć nie mogłem — o awansach i myśleć nie mógłbym, bo wszystko rozbijałoby się o brak tz[w]. kwalifikacji naukowych. Staję znowu przed nieznanym.

Co robić? I czy w ogóle robić?

Jestem mała, idiota! Bardzo dobrze wiem o tym.

Martwię swoim głupim postępowaniem wszystkich — także wiem. Oburzacie się na mnie, słusznie. Wiele rzeczy nie rozumiecie w moim postępowaniu, przeto nazywacie je głupim.

Jednym słowem, jestem dla całej rodziny żyjącą ciągłą troską. Wszak tak? Prawda. Otóż wynalazłem pewien *modus vivendi*, który nas wszystkich w równych częściach pogodzi. Nawet dwa sposoby: pierwszy — umrzeć — mówię zupełnie serio; drugi — zostać księdzem ¹.

Wybierając, z dwojga złego wolałbym pierwszy, bo w każdej chwili wykonalny i nie zależący od żadnych okoliczności ubocznych. Drugie bym także przyjął, ale do wykonania drugiego potrzeba pieniędzy stosunkowo olbrzymią sumę, jakie 200—300 rs. Olbrzymią dla tego, który grosza nie ma, więc rzecz ta jest prawie niewykonalną.

Gdyby była jeszcze Mama, można by coś z Ojcem przedsięwziąć, ale tak — Ojciec ani by chciał słyszeć. Więc coś mi pozostaje? To, czego dawno pragnąłem — umrzeć. Ileż razy dawniej zabierałem się do wykonania tej smutnej ostateczności, to zawsze mnie myśl na Matkę powstrzymywała. Dziś jest inaczej. Dziś prawie jestem sam. Wy, choć mnie kochacie — zapomnicie wkrótce. Tak być musi. Matka by zapomnieć nie mogła. To, co mnie powstrzymywało, nie istnieje. Sam rozumiem, że to jest smutną rzeczą umierać tym, co są potrzebni na ziemi, ale nie tym, którzy widzą się zbyt liczni, którzy wiecznie zapytują się: po co? dlaczego?

Nie mieć nigdzie dachu nad głową to nic jeszcze, to się przetrzymuje — ale nie mieć już żadnego punktu oparcia moralnego na świecie to rozpacz, która pcha do tej upragnionej — śmierci ² — bez względu, co tam poza nią się znajduje. Może to weźmiesz za gadanie półgłówka, trudno — fakta, smutne co prawda, wywiodą Cię z błędnego mniemania. Ale żeby sobie nie mieć nic do wyrzucenia, muszę wyczerpać wszystkie sposoby dojścia do drugiego sposobu — zachowania życia. Więc tak zrobię. Pojadę do Ojca poprosić Go o potrzebną sumę na jakie takie przeżycie do czerwca i sposobność przygotowania się do zdania

egzaminu z 4-ch klas, a następnie już swoimi siłami postarałbym się umieścić w którym z seminariów itd. Gdyby Ojciec nie chciał, to starałbym się część swoją, tj. przypadającą na mnie po śp. Matce naszej, sprzedać komu ze znajomych lub krewnych za sumę mi niezbędnie potrzebną, wypłacalną nawet w ratach miesięcznych, aby nie myślano, że chcę dostać pieniądze i stracić je. Gdybym miał pieniądze, to i tak byłbym zmuszony prosić Ciebie o pomoc w takiej formie: danie mi mieszkania u siebie i pomocy przy uczeniu. Na życie i inne potrzebne wydatki miałbym pieniądze, zyskane w obocznie wyłuszczonego sposób.

Gdybyś się nie zgodził — no to bym musiał jakoś inaczej postąpić. Gdybym miał pieniądze, to tak czy owak dopłynąłbym do zamierzonej przystani spokojnego bytu.

Piszę do Ciebie otwarcie, jak do najlepszego przyjaciela. Odpisz mi zaraz po odebraniu listu, bo będę czekał umyślnie na Twoją odpowiedź w Warszawie. Daj rady co do postąpienia z Ojcem lub w przeciwnym razie ze sprzedażą tej sumki³ — ale nie odwódź mnie od śmierci, gdybym wszystkie sposoby ratunku wyczerpał na próżno — bo nie usłucham. Pisz na Nowolipie do Kasi.

A teraz całuję Cię serdecznie i czekam odpowiedzi.

Twój W. Rejment

10. 10. 90

PS. Jeślibyś chciał, a uważał za stosowne, to napisz do Ojca o moim postanowieniu względem seminarium i potrzebnych pieniędzy.

Rejment

¹ Widać, że i później ta myśl nawiedzała Reymonta. Świadczy o tym wymiana listów z przeorem ojców paulinów w Częstochowie, Euzebiuszem Rejmanem, w latach 1893—1894. Pisarz jednak nie odbywał nawet nowicjatu. Zob. T. Burzecki, *Gdy Reymont marzył o sutannie*. „Tygodnik Powszechny” 1967, nr 20.

² Prócz żalu za zmarłą matką Reymont przeżywał w tym czasie dramat z powodu miłości do żony swego zwierzchnika, Stefanii. Zob. Burzecki, *Zygzyki biografii młodego Reymonta*.

³ Chodzi o sprzedaż części ziemi przypadającej Reymontowi po matce.

[Warszawa, 8 listopada 1890]

Drogi Franku.

Listu Twojego do Kasi nie oddałem, bo zobaczywszy się z nią, poznałem z toku rozmowy, że nie wie o liście pisanym do Kostka, z nim zaś się nie widziałem. Zegarek Kasia wykupiła — możesz posłać po niego. Nic z nią nie mówiłem o staraniach się na kolej. Jadę do Rogozińskiego

prosić go o wydanie przychylnej opinii, bo od tego tylko zależy przyjęcie moje na kolej. O skutku doniosę wkrótce. U Rozenfelda byłem. Dał mi adres tego p. dr. Skwara, ale chodząc do niego kilka razy, nie mogłem go zastać. Podaję Ci jego adres, może napiszesz: Żurawia nr 23, miesz. 25, Skwar.

List Dzierzbickiemu¹ oddałem, mówił, że Paszewski nic nie może pomóc. „Rola” notatkę o sklepie² przyjęła, będzie umieszczoną w następnym nr. „Głos” również przyjął.

Całuję Cię serdecznie, więcej wkrótce.

Twój

Rejment

Sobota, Warszawa

Adres na kopercie: Wielmożny / F. Rejment / w Nadarzynie / przez St. Dr. Z. W.-W. Pruszków. Stemple: 5 Варшава, 29 окт. 1890, I экспед.; Прушков Варшавск. Губ., 29 окт. 1890.

¹ Przypuszczalnie Stanisław Dzierzbicki (1854—1919) — absolwent Szkoły Dróg i Mostów w Gandawie, w r. 1884 powołany na delegata Warszawskiego Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego.

² Zapewne ogłoszenie firmy Jakimowicza. Znajdujemy je w „Roli” (1890, nr 41): „Mundury, szynele, bluzy dla uczniów. Wielki wybór, ceny niskie — w Magazynie Konstantego Jakimowicza, ulica Miodowa nr 12 — wprost sądu”.

[Przyłęk, 15 grudnia 1890]

Drogi Franku.

Dziękuję Ci serdecznie za list i zawartość w nim. Urządziłem się tu, jak mogłem przy podobnych warunkach¹. Mieszkam na wsi u chłopca w obrzydliwej norze wspólnie prawie ze świniami, ale to mniejsza, najważniejsze to, że mam okropnie zimno, ponieważ w miejsce podłogi jest tylko coś nieokreślonego — przez pułap zaś swobodnie można liczyć gwiazdy — tym swobodniej, że na tej połowie, gdzie mieszkam, zawalił się dach — więc pomimo cyganka, *nb.* niemiłosiernie kopącego, jest przerażająco zimno. Ale cóż robić? jak na teraz, ani mogę marzyć o innym mieszkaniu — bo nigdzie blisko nie ma. Więc nie wystawisz sobie zbyt różowym mój los — dołożywszy do takiego mieszkania następujące szczegóły, cały dzień siedzę na linii — tak kazali, więc muszę choć początkowo — z taką niezimową garderobą, jaką posiadam, toteż trzęsę się prawie ciągle z zimna, jak [na] pierwszą dolegliwość nie ma rady, tak tym bardziej i na tę, gdybym mógł gdzie pożyć ze 30 rubli

z amortyzacją miesięczną, to bym się jako tako oporządził, ale inaczej to dalibóg nie wiem, jak przetrzymam zimę. Życie prowadziłem dotychczas okrutnie rozkoszne, nie miałem się gdzie stołować, nie miałem co jeść, nie miałem za co kupić. Dopiero dziś zmieniło mi się troszeczkę na lepsze, bo zacząłem jadać obiady u dozorczy, no a śniadania i kolacje to jak można.

Reasumując wszystko, mówię: podłe życie, ale cóż robić? bywało i gorsze, a nuż się odwróci i będzie lepiej.

Ojciec dał mi 5 rubli — może nie mógł więcej? Kupiłem sobie za to maszynkę naftową, zapłaciłem komorne na trzy miesiące i już na czysto. Byłem w ubiegłą niedzielę w domu Kamili; była Kasia i Michałowie — przyjechali na pogrzeb dziecka². Przyjedź koniecznie na święta. W Wigilią w środę ja rano będę w Skierniewicach, więc gdybyś południowym jechał — to moglibyśmy od Skierniewic razem pojechać do domu. Dobrze? A przyjedź. Przyjadą Sikorscy³. Munkiewicz już pisał, żeby przyjechali, a oni przez Kasię zapytywali się, czy mogą? Do Nowakowskiego⁴ pisałem w czwartek. Wszystkich stosunków będę używał, aby się tylko wydostać stąd i iść gdzie do biura, bo na takim zimnie zdech[ł]bym, i tak mnie już serce coraz więcej boli.

W domu po staremu prawie, tylko Ojciec zaczyna mnie niepokoić, jest przekonany, że chorować zaczyna na taką samą chorobę jak [k] śp. Mama — nie można mu wytłumaczyć. A ty wiesz, co to jest imaginacja, wmówienie.

Co do 25% procentu[!] urzędników Polaków to i u nas różne wersje chodzą, ale nic na pewno nie wiemy. Gdybyś się z tamtym Nowakowskim widział, proś go może, by prosił Koźniewskiego o przeniesienie mnie do biura, jeśli to było możliwe. Bo z 60 kopiejek, jeszcze przy takich okolicznościach, jest niemożliwym prawie żyć —

Kończę prosząc Cię raz jeszcze — przyjedź — i całując serdecznie.

Twój

W. S. Rejment -

Przyłęk, 15 XII 90

Przyjedź. Wszyscy proszą o to. Przyjedź.

R.

Adres na kopercie: Wielmożny / Franciszek Rejment / przez St. Dr. Ż. W.-W. Pruszków / w Nadarzynie. Stemple pocztowe: 26 почтовый район, 5 дек. 1890; 1 Прушков, Варшавск. Губ., 5 дек. 1890.

¹ W wyniku starań rodziny Reymont znów rozpoczął pracę na kolei.

² Prawdopodobnie pogrzeb dziecka siostry Reymonta, Kamili Munkiewiczowej.

³ Henryk Sikorski — mistrz krawiecki, krewny matki pisarza, ożeniony z Eleonorą Pauliną z Jaworowskich.

⁴ Jeden z urzędników na kolei.

[Krosnowa, 19 kwietnia 1891]

Drogi Franku.

Byłem zaraz po świętach w Warszawie, sądząc, że się [z] Tobą zobaczę — nie byłeś — a ja nie miałem tyle czasu, aby wstąpić do Ciebie. Ciekawy jestem, co się tam dzieje u Ciebie i z Tobą? W święta zapewne bawiłeś się gdzie w sąsiedztwie, co? Bo dla mnie przeszły stokroć smutniej, niż dawniej przechodziły. Nie wiem, co ogólnie od pewnego czasu wpływa na mnie dość dziwnie — czy niedawne niezapomniane smutne chwile? czy też osamotnienie, w jakim żyję? nie wiem. Ale przestaczam się ogromnie, sam to widzę. Jest to śmiesznym, ale i godnym zastanowienia, ta przemiana charakteru, usposobień bezwiedna. Ale mniejsza z tym, powiedziałabyś, że nudzę.

Pcham taczkę swego 60-kopiejkowego życia wraz ze świętami — pcham, jak mogę. Awansowałem w tych dniach na rzeczywistego p.o. Sta. Ro.¹, ale gaży mi nie podnieśli. Muszę pierwszej jechać do egzaminu, co też i zrobię w maju lub najdalej w czerwcu. Zrobię to tylko dlatego, że po zdaniu egzaminu podwyższą na 90 kop.² Ot, żyje się, aby żyć.

W domu nic nowego. Ojciec zdrowszy znacznie, sam to przyznaje. Krząta się dość energicznie około gospodarstwa. Dzieci! — cóż Ci o nich napiszę, czego byś nie wiedział; pracują, ale tak jak tylko pracować nie mogą, a muszą w podobnych okolicznościach ludzie dorośli. Wacia³ przyznała mi się, że ma coraz mniej sił, że nie może przejść kilkudziesięciu kroków bez zmęczenia, że nie może dźwigać już tego, co dawniej mogła. Helcia⁴ zaś to takie nierozwinięte fizycznie dziecko! — bardzo mało jąda, a cicha i spokojna, że doprawdy mnie przeraża ta jej spokojność — bo to już martwota. Widzisz, piszę ci rzeczy smutne, choć one takimi nie są na pozór, ale, na nieszczęście, na pozór tylko. Piszę ci o tym, bo wiem, że nie mniej odczujesz to ode mnie i bo przecież trzeba coś zrobić, żeby te dwoje dzieci nie marnowały się w tak bolesny dla nich sposób. Ci, co na to patrzą codziennie, może i widzą, ale wierz mi, nie odczuwają konieczności zamiany na lepsze. Kamilcia mogłaby coś i powiedzieć, i zrobić w tym celu, gdyby Kamilcia żyła, ale to śpiąca dusza, istota bierna, bez woli i jakiegokolwiek inicjatywy. Oprzeć się na kim, to by i przeszła spokojnie przez życie — ale żeby na niej się kto oparł, przewróci się. Pod własnym ciężarem chwieje się ciągle, jeszcze mając mężem takiego skończonego głupca — —

Tak, do czego się tylko dotknąć w życiu, to rzecz bolesna, czasem wstrętna, tak że człowiek z nadmiaru czucia musi się zamknąć tylko w sobie, zostać w części egoistą. Bo patrząc i współczując z cierpieniami innych, serce pęka z bólu, że poradzić nie może, nie ma środków. Da-

ruj ten ton jeremiaszowy, ale jest tyle cierpień na świecie, że człowiek, który pozna, że nie ma siły i sposobu im przeciwstawić czego innego, rad by nie żyć. Możesz mnie nie znać z tej strony, ale się nie śmieję ze mnie. Odpiszesz obszernie, prawda? Ja będę w Warszawie może na Zielone Świątki, to będę chciał być u Ciebie — no ale to Ci nie przeszkadza po otrzymaniu listu tego odpisać... prawda?

Całuję Cię serdecznie.

Twój
W. S. Rejment

Krosnowa, 19. 4. 91

Adres nowy na drugiej [stronie]: / Wielmożny Chmieliński / Dozorca Odstępu 4 w Rogowie / dla itd...

O tyle adres nowy, że się Dozorca zmienił.

R.

Adres na kopercie: Wielmożny / F. Rejment / przez St. Dr. Ż. W.-W. Pruszków / w Nadarzynie / ч[е]рез Ст. В. В. Ж. Д. Прушков в Надаржин. Stemple: 5 почтовый [ра-йон, 10 апр.] 1891; Прушков, Варшавск. Губ., 10 апр. 1891.

¹ Pełniący obowiązki starszego robotnika.

² Nie wiadomo, czy Reymont zdawał egzamin, lecz otrzymał podwyżkę do 90 kopiejek.

³ Wacława Walda uowa, 2° voto Miszczuk (1879—1949).

⁴ Helena Załęska (1881—1949).

11

[Krosnowa, 8 lipca 1891]

[.]¹
na diabła zda się praca, staranie — chęci utrzymania się na jakim takim poziomie. Przyjdzie coś, co wszystko pokrzyżuje, pogmatwa i do cholery bierze. Zdychania, i to z głodu, można być zawsze pewnym — niczego więcej — niczego. A drugie to to, że przeszłość mści się. — Ten Siwski² tak ciąży nade mną, jak coś potwornego — tj. ten czas, jaki byłem z nim razem. Teraz osądź, czy miałem o czym Ci pisać? Pokazywać Ci swoją nędzę, jakbyś własnej biedy miał nie dość. — Na co się zdało? — Zresztą to będzie — co przyjdzie, na resztę miej postronek, jeszcze później upatrzyś już dogodne drzewo.

Byłem w domu w niedzielę i dowiedziałem się, że jeździłeś do Piotrkowa wedle ożenku czy tam czego³. Bierz posag, jeśli ma, żonę, jeśli już koniecznie dają, i nie pytaj czasem o miłość. Co Ci po niej? zostaw rozmyślanie o niej takim bałwanom jak ja, którym ona skrzyła życie. Byłem w Warszawie na 17 maja, a nie byłem u Ciebie, bo nie mogłem

wydać 2 rs. na furmankę. Teraz jak będę, to choćby pieszo, to wstąpię do Ciebie.

Zresztą śmieję się z wszystkiego — a jeśli śmiać się nie możesz, to zapisz sobie do poduszki miarkę wódki i śpij — śpiąc nie czujesz głodu — a to ważna rzecz. Cóż Ci więcej pisać? Może się niedługo zobaczymy, to pomówimy obszerniej, a jeśli nie, poprzestać musisz na tym. W każdym razie, jeśli chcesz, to odpisz, o tym interesie piotrkowskim co myślisz zrobić. Czas by już był na Ciebie w tym wypadku.

Całuję cię serdecznie.

Twój

W. S. Reymont

Krosnowa, 8. 7. 91

Adres: / Chmieliński — Dozorca Odstępu 4 / D. Ż. W. W. Rogów / dla XZ

¹ Brak początku listu.

² Być może jeden ze spirytystów.

³ Franciszek Rejment ożenił się z Leokadią Kępińską, córką Feliksa, prawdopodobnie na jesieni 1891.

12

Anno Domini 1891

December 8

Kochani Moi!

Nie mogąc ustnie powinszować Wam, dziatki, robię to choć wyblakłym atramentem. Żyjcie, kochajcie się, bądźcie zdrowi; żebyście mogli żyć — jedzcie, żebyście się kochali — aha! — tu sęk, co radzić? (kiedy indziej dam radę). Żebyście byli zdrowi, używać senesu, *natr[i]um bromatum* itp. specjałów własnego wyrobu. Powiadam Wam, będziecie szczęśliwi¹.

Nie ma jak na gorycz życia — ulepek ipekakuanowy — na zniechęcenie, nudę i inne przyjemności życia — krople Sznajdrowskie. Dosyć — na tym kończę przedmowę, że wznoszę w górę szklanę bawarki, pijąc wasze zdrowie.

„Precz, precz smutek wszelki”² ryczę za starym bałwanem Niutą — i jest mi wesoło — dobrze — tylko dlatego, że Wam tam jutro będzie wesoło. Czy on nie chory na serce? — mówicie kręcąc wymowne kółeczko na czole, że takie głupstwa pisze. Nie, Serafinkowie mili, bobaki moje, zdrów jestem okropnie, i wedle serca, i wedle tego..., i wedle jeszcze innych rzeczy — tylko widzicie, jako jeden z kawalerów krzyża naturalnego i Ś-tej Golizny — jestem sobie wesoły. Cóż to, nie mogę sobie pozwolić raz w rok około imienin mojej Bratowej — czy co? Czy to nie pięknie na świecie? Czy to nie cudny kapuśniaczek tnie od rana? Czy

to mam pieniądze i martwię się, co z nimi zrobię? Alboż do mojego sanktuarium kawalerskiego nie leje się — prosto na łeb, czy co? Alboż bracia nasi w Izraelu chcą dawać więcej? Aha! co tam? — — Darujcie, barankowie mili, że na chwilę przerwę miłą dla mnie gawędkę. — — —

To nic, niewolnik mój tylko melduje mi głosem słabym, zamatowanym, patrząc na mnie zamglonymi oczyma (ożenił się niedawno, to go tłumaczy. Biedak), że chleba brakło (nie było go dość dawno), cukier się skończył. Herbaty ani krzty. Tytuń jest? Jest! — to fraszki — za dwa dni wypłata. Śmiejmy się ze wszystkiego — z siebie, z ludzi, rzeczy — bogów — śmiejmy się...

Niech żyje Tytuń i Bawarka. *Wiwant!* [!] Ale, Franek, bawarka taka z wody i mleka, nie inna — taka, o jakiej pomyślałeś — libertynie. —

Ciekaw jestem, kto będzie u Was jutro? O ile mi się zdaje, to ci nie zawiodą: 1) Kwiczół z rodziny Tenoro-piwowatych³. Żona z dziatkami. Ach, jak ja kocham takie małe Aniołeczki. Wszystkim takim pociechom, milusińskim, z miłości jedynie, daję słowo, poukręcałbym te kochane główeczki przy samych ramionczkach [!]. 2) Będzie — ten z Dzielnej⁴ ze swoją Synogarlicą — lubię tych ludzi. On przypomina mi swoją łepetyną o kręconej fryzurze Barana — och, baranka wielkanocnego — potrzeba by mu tylko w nos wsadzić chorągiewkę, a złudzenie byłoby zupełne. Przecież porównanie nie jest złe. Boć Baran to symbol krześcijański — naiwności czy niewinności, nie pamiętam dobrze — jedno, a po drugie, nie jestem biegły w *Talmudzie*. Ona zaś, co ona mi przypomina? Aha! — wiem — Synogarlicę — tj. niezupełnie, ale taką choć, jaką się używa na Święty Marcin — taką szarą — ze trzy razy podskubaną, zmizerowaną po ścierniskach... Ale mimo to dobrą i poszukiwaną szczególnie wtedy, gdy ma swoje miejsce w książkach hipotecznych, zdrowie niewielkie i używa ziółek Różyckiego i karmelków „miodowo-ziółowo-słodowych Leliwa”⁵. 3) Niutowie. Jakbym słyszał pocziwca mówiącym „powiedam państwu”, a ona powtarza — prawda, że ona nigdy nie powtarza. Zacności ludzie. Okazy szczątkowe — nieoszacowane. Kazaliby się wypchać fotografiami i postawić pod żjazdem, są tam odpowiednie miejsca. Wdzięczni poszukiwacze wykopalisk kazaliby ich zdjąć w formie gabinetowym na wieczne głupstwa istnienie.

Fantazja mi słabnie. Wy to widzicie, że od pierwszego słowa tego listu mózg mój coś nie bardzo w porządku, co? A jeśli tak, to cześć Waszej małżeńskiej przenikliwości. Kto tam będzie więcej? Dalibóg nie wiem. Sukcesor nie, bo jego czarny interes robi się popielatym przez deszcz — i zresztą musiałby się specjalnie myć — a to średnia przyjemność. Przedsiębiorca — także nie. Któż by dzieci bawił? — a po drugie, jego godna połowa, a raczej jego trzy czwarte, nie mogłaby spać dobrze, bo te obrzydliwe dorożki warszawskie — tak trzęsą...

Zostaje przemysłowiec w bobrach. Ha, jeśli będzie kuniok, czarna kawa, kieliszek „*krem cacao de szua*” [!], porcja prefera — to będzie.

Drugiej strony medalu nie dotykam, bo ani znam, ani mi wolno. Prawda, będzie jeszcze moja siostrzyczka — Sroka⁶. Nie pogniewa się na mnie, bo nie ma za co, ani ja na nią, bo nie mam na co.

Wyczerpałem Waszą cierpliwość do dna, ale pozwólcie jeszcze gran⁷, jeszcze proszek, jeszcze uncję, a skończę.

Czy myślicie, że oprócz błaznowania nic już nie umię [!] — o, umię jeszcze np. gwizdać *Jeszcze raz*⁸, podpisywać rewersy, a nawet pisać całe weksle i kochać — tak, i kochać. A jak kocham, mogłyby zaświadczyć hm! ehm! — no mniejsza, znalazłyby się takie, co by zaświadczyły — choć miotłą.

Darujcie mi szopki. Listu nie pokazujcie nikomu i wierzcie, że Was kocham tak serdecznie, jak serdecznie Wam życzę przy imieninach wszystkiego dobrego. Bądźcie tak dobrzy, napiszcie, gdzie będziecie na święta? Nie mogę przyjechać teraz, ale wpadnę wtedy, kiedy się mnie spodziewać nie będziecie.

Całuję Was serdecznie. Przyciskam do serca z rozrzewnieniem i piśzę się Waszym

W. S. Rejment

¹ Dowcip *à propos* zawodu farmaceuty. Reymont po raz pierwszy w korespondencji z bratem zupełnie świadomie dokonuje literackiej szarży w prozie. Z notatek dziennika (Bibl. Ossolineum, rkps 6954) wiemy, że w 1891 r. wiele pisał, przygotowując tom opowiadań.

² Popularna melodia skomponowana do słów wiersza A. E. Odyńca *Precz, precz od nas smutek wszelki...*

³ Przypuszczalnie Konstanty Jakimowicz.

⁴ Osoba z nazwiska nie rozpoznana.

⁵ Ekstrakt i karmelki z fabryki „Leliwa” w Warszawie — dla kaszlących i osłabionych, koncesjonowane przez władze lekarskie. Zob. „Rola” 1890, nr 41.

⁶ Być może siostra pisarza, Joanna, zamężna Makowiecka.

⁷ Drobną jednostką wag = $\frac{1}{24}$ skrupułu = $\frac{1}{288}$ łuta (łac. *granum* ‘ziarno’). Zob. *Słownik języka polskiego*. T. 1. Warszawa 1900, s. 899.

⁸ Popularna aria z *Ptasznika z Tyrolu* K. Zeller’a (1891).

[Skierniewice, 10 czerwca 1892]

Drogi Franku!

Daruj, że tak dawno nie pisałem. Nie staram się usprawiedliwić, bo usprawiedliwienia nie znajdę, ale proszę o darowanie winy. Tak jakoś schodzi czas — życie, że ciągle się wybieram zajrzeć do Ciebie, a nigdy nie mogę. Tak mi ciągle krzyżowały różne okoliczności.

Miałem już ostatecznie i na pewno być na Zielone Świątki, powra-

cając z wesela Stasi, ale trzeba trafu — podłego co prawda, że coś 28 maja zachorowałem, a 31 t. m. znalazłem się w szpitalu skierniewickim. No i leżę tu dotychczas, kiedy wyjdę, to nie wiem, ale sądzę, że za jakie kilka dni najdalej. Zapalenia kiszek dostałem¹. Było mi źle, nawet bardzo niedobrze, ale jakoś się wykaraskałem i polepsza mi się olbrzymio szybko. Skoro wyjdę ze szpi[tala], dostanę urlop na jaki tydzień, to z pewnością przyjadę do Was. Ciekaw jestem, jak tam życie?

Dziękuję Ci za list pisany w maju. Przypomniiał on mi wiele rzeczy, o których powinienem pamiętać, i zbudził na nowo troskę o przyszłość. Wiesz, nigdy jej tak czarną nie widziałem jak obecnie. I że ona nie może być inną — to jest bardzo proste. Widocznie będę musiał wegetować zawsze — nie żyć. To nie kwestia chęci, ale wynik przeszłego życia mojego i przygotowania się do tegoż życia.

Cała rzecz w tym, że przewidując smutną przyszłość — nie martwię się, tylko będę ją przyjmował jako następstwo konieczne, a ważniejsza — nieuniknione — więc jestem przygotowany. Nie jest bez tego, abym się czasami nie starał wyłamać spod prawa, abym się nie buntował — i abym nie z goryczą spoglądał — marząc — że mogłoby być inaczej i powinno by być.

Tyle wiem, że na kolei nie ma dla mnie żadnych widoków, siedzę już dycht półtora roku — nie wysiedziałem nic — i siedząc jeszcze półtora, nie wysiedzę nic. Zresztą zobaczymy się niezadługo, to pomówimy o tym.

Prawdopodobnie wiesz, że Munkiewicz przedstawiony do Koluszek? Kiedy go przeniosą i czy zatwierdzą przeniesienie, nie wiadomo.

W domu byłem coś z miesiąc temu — wszystko po staremu, Wacia była tylko więcej słabsza.

W Piotrkowie byłem 15 maja. Powiedziano mi, że Lodzia² na Boże Ciało ma być w Piotrkowie. Gdybyście mi o tym donieśli kilkoma słowami, ale zaraz po odebraniu tego listu, to bym wiedział, czy będzie lub nie.

Na tym chyba skończę, bo niedługo się zobaczymy. Więc ino Was, drodzy moi, ściskam i całuję serdecznie

i piszę się Waszym bratem,

trochę zdrowszym

W. S. Rejment

Skierniewice, 10 VI 92

Jeśli napiszesz zaraz, adresuj:

W. Weyher. Sekretarz Oddziału II D. Ż. W. W. Skierniewice / dla tego a tego / albo wprost: / Szpital Ś-go Stanisława w Skierniewicach

R.

¹ Było to głodowe zapalenie kiszek, które zostawiło ślad w postaci trwałego niedomagania. Zob. list. 21.

² Żona Franciszka Rejmenta, Leokadia.

14

[Rogów, 8 lipca 1892]

Franku mój!

U Ojca była tylko Kasia. Ja pojechałem 3-go wieczorem, ale 4-go rano musiałem odjeżdżać. Czy później przyjechał kto jeszcze? — nie wiem. Ojciec zdrowy. Asekurację odbierz, bo asekurowane na jego imię. Ciotka Sikorska jest w domu, ma być przez lato. Wacia i Hela kwęczą. O Mundziach nie piszę — widziałeś się z nimi. Ja jak mogę, tak się stawiam. Poprawy w zdrowiu nie czuję. O ile miałem zaraz po chorobie apetyt, o tyle teraz brak mi go. Humor jak po occie, zniechęcenie jak zwykle w chorobach żołądka. A i w moim położeniu nie ma nic, co by mogło usposobić lepiej i co by mi pozwoliło swobodniej patrzeć w jutro. W wydziale tym, gdzie jestem, być dłużej nie mogę. Wczoraj naczelnik mój powiedział mi w formie życzliwej rady, abym się starał przenieść gdzie indziej, bo na dotychczasowym miejscu nie ma przyszłości żadnej dla mnie. A nawet pozostawanie dłużej nad parę miesięcy — nie jest możebnym wobec świeżego konty[n]gensu tegorocznych techników, którym obowiązano dać miejsca. A przecież z takimi jak ja — dziennymi — ceremonii robić — pewnie by sobie nie robili. Dobrze że przedtem porobiłem starania o przeniesienie się. Skutek jak najpewniejszy — tylko, jak ci mówiłem, potrzeba pieniędzy — pieniędzy! Ojcu jeszcze nie mówiłem, ale w tych dniach jadę i muszę stanowczo się rozmówić. Pieniądze mieć muszę! — bo bez nich — nie mam wyjścia — ot co! Do 400 rubli trzeba by tam dać, a z jakie 50 mieć na jakie takie urządzenie się na nowym miejscu. Jestem w tak krańcowym położeniu, że te pieniądze są dla mnie wszystkim — bo zapewnieniem przyszłości — bo żyć chcę — to mój obowiązek. A jeśli teraz miejsca owego nie dostanę z braku pieniędzy — to nie dostanę go nigdy¹. 1) Nie mam praw żadnych, kwalifikacji. 2) Że wszyscy wyżsi będą od Nowego Roku ruscy. Więc muszę się spieszyć, póki czas. Rozumiesz doskonale moje położenie. Napisz do Ojca, tylko w formie prośby. Nie dał mi wykształcenia², które byłoby dla mnie więcej niż majątkiem. Nie kosztowałem Go nigdy za wiele, więc by powinien teraz przyjść mi z pomocą — oddając tylko to, co mi się niejako z naturalnego prawa należy — a co stanowi o przyszłości. Sądzę, że to logiczne wymaganie i że nie nadużywam niczego i nikogo — chcąc. Mam już tyle lat tułaczego życia za sobą, a nie chciałbym jeszcze jakie ze 30 lat tak samo przepędzić — ani nikt z na-

szych nie życzyłby mi tego. Juści — ojciec pieniędzy nie ma — wiem doskonale. Ale w tych czasach tak łatwo jest pożyczyć, jak się ma — stać hipotekę! Poradź mu to! Nawet na swoją połowę pożyczyć może — i niechby wziął tyle, co dla mnie i aby mógł Michała spłacić. Mógłby dostać nawet na coroczną amortyzację. Mój drogi, napisz jak najprędzej. Żałuję, że o tym Kasi nie mówiłem, byłaby Ojca uprzedziła. Jestem zgorączkowany tym, że muszę mieć stanowczość — w rezultacie. Co Ojciec mi powie — jak się to rozwinie — doniosę Ci natychmiast. Drżę z obawy, aby co nagłego, nieprzewidzianego, a niemożliwego do usunięcia — nie stanęło na drodze do mojego celu, nie zniweczyło go. Ledwie chodzę, tak jestem wyczerpany chorobą i niepewnością losu.

Kończę, całując Was Oboje jak najserdeczniej.

Wasz brat
W. S. Rejment

8 VII 92, Rogów

Darujcie, że na świstku piszę — na razie brak lepszego itd.

R.

¹ Przypuszczalnie do wpłacenia tej sumy nie doszło. Reymont w r. 1892 został literatem. Wprawdzie pracował na kolei jeszcze w r. 1893, ale los jego zmienił się zasadniczo.

² Reymont zapewne myśli o wykształceniu gimnazjalnym i wyższym, które otrzymał brat Franciszek.

Kochani moi.

Dziękuję za list, bardzo dziękuję, sprawił mi on niekłamaną przyjemność i przypomniał, że winien jestem niepisania do Was. Składały się na to różne przyczyny. Po powrocie do siebie od Was — pamiętacie może, że już byłem słaby — zachorowałem potężnie — na zapalenie oskrzeli. Leżałem coś do trzech tygodni i dzisiaj nawet nie jestem zupełnie w porządku z płucami, a potem wyzdrowiawszy na tyle, że mogłem chodzić, zabrałem się do swojej zmory, pracy literackiej — która pochłania mnie całego i zmusza do ciężkiego, bardzo uciążliwego nieraz wysiłku. Niby to nie tłumaczy mojego milczenia, ale w części usprawiedliwia. Staram się o przeniesienie do Pływi¹, bo tu, gdzie jestem, niemożliwe dłużej żyć — tam miałbym i mieszkanie darmo, a przyzwolite, i ze stołowaniem mógłbym się odpowiednio urządzić. Czy mi się uda — nie wiem? Możliwe jest i to, że mnie wyleją zupełnie, zamiast przenieść. Tymczasem żyję jak anachoreta, bez towarzystwa żadnego, bez

przyjemności, surowo, ostro i wstrzemięźliwie. Muszą mi wystarczać chłopci, pomiędzy którymi żyję, pensja, jaką raczą mi płacić, i cel, do którego dążę. Jeżeli czasem, w dniach znerwowania lub w chwilach nudy bezbrzeżnej — przeklinam ten dwuletni tutaj pobyt — to znów w chwilach normalnego poznawania i pełnej świadomości — a tych jest więcej — błogosławię niejako. *À propos* tych prac moich. Wierz mi, że czekam na ich ukazanie się w druku z większym utęsknieniem niż wierni na zbawienie wieczne. W grudniu z pewnością zaczniesz się drukować seria cała szkiców moich z chłopskiego życia — w „Głosie”², tego jestem pewny — bo brałem już coś *a conto*. W „Przeglądzie Tygodniowym” w październiku już zamieścili rzecz jedną — a raczej już ją zaczęli — i ta droga, kochana cenzura raczyła łaskawie wyrzucić³. Poradzono mi udać się do „Kraju”; sądzą, że tam wymagania cenzuralne są lżejsze. Wykreślili — tak samo — jeszcze p. Piltz, pisząc mi o tym, narzeka, że go na koszt naraziłem — bo już N° był gotów — on pewien, że to przejdzie — tymczasem trzeba było wyrzucić — itd. Wię[c] cały prawie zbiorek, może najlepszych rzeczy, musiałem wysłać do Krakowa do „Myśli” i do „Lwowskiego Dziennika”⁴. Juści, że tam skwapliwie będą je drukować. Poprotegował mnie tam Świętochowski i inni — ale mi żal, że nie w naszych pismach. Wolałbym być tutaj darmo drukowanym niżli tam sowiec opłaconym — czego, mówiąc między nami, nie będzie — bo „Myśl” — pismo dycht w rodzaju „Prawdy”. Ma prawdę dla swoich czytelników, ale nie ma pieniędzy dla współpracowników. „Dziennik Lwowski” — ten zapłaci. Do „Przeglądu” dałem co innego⁵, ale zaczniesz się po Nowym Roku — prędzej nie może być z powodu nawalu gotowego materiału. Więc czekam, czekam — i piszę, i czekam. Jak się tylko tłoczyć zaczniesz pierwsze — przyślę Ci z przyjemnością. Czy Ty z podobną będziesz czytał — zobaczymy.

Byłem 15 października w Warszawie u Henryków⁶, sądziłem, że będziecie — zawód był zupełny, a ja prawie po to pojechałem. Byłem godzin 12 w Warszawie — na tej bibie nudziłem się nie do wytrzymania — i żałowałem czasu straconego i pieniędzy wydanych na próżno. Na 25 XI będę w Warszawie. Wezmę urlop na dni 4 przynajmniej. Przyjedźcie koniecznie. Gdyby Was nie było — o czym i nie myślę — to będę w Nadarzynie. Ojciec już postawił sobie to, co się spaliło — tylko lepsze, porządniejsze. Wacię ów bok stale boli. Hela, jak zwykle, przesuwają się jak cień, jak echo. Kamila wspaniała, potężną swoją figurą podziw wzbudza — a sama czeka. — Jania jest w Warszawie — miała przyjechać do domu teraz, w tym czasie, ale nie wiem. —

Mundzio jak Mundzio — zdrow i głupi po dawnemu. O Anielci nic nie wiem, o Michale tyle, że kwęka, o Mani, że jest chora. I tak wszędzie — bieda albo choroba, albo te dwie miłe rzeczy razem.

Ta myśl Łodzi to mi się podoba ⁷. Może by to był interes — a wreszcie biorąc najściślej, gorzej nie mogłoby iść jak teraz — co?

Darujcie mi kaligraficzność mojego pisma i nudzenie.

Całuję Was serdecznie.

Wasz brat

W. S. Rejment

Krosnowa, 7 XI 92

¹ Przystanek na tej samej linii kolejowej co Rogów, niedaleko Wolbórki, pow. skierniewicki.

² Książak [S. Reymont], *Korespondencja ze Skierniewic, spod Rogowa i z Koluszek*. „Głos” 1892, nr 49; 1893, nry 23, 28, 46. Nadto „Głos” (1893, nry 13—15) wydrukował w cyklu *Z chłopskiego bytowania* utwór pt. *Śmierć*.

³ Dwa artykuły nie podpisane, pt. *Z tajemnic anonsowych* („Przegląd Tygodniowy” 1892, nry 42—43). Zapowiedziany trzeci nie ukazał się. Artykuły przeciwko nieuczciwym agentom reklamowym i przeciw nieuczciwemu postępowaniu niektórych pism oraz kupiectwa. Wolno dopatrywać się tu autorstwa Reymonta, który zajmował się umieszczaniem reklam firmy Jakimowicza w prasie (zob. list 8).

⁴ *Wigilia Bożego Narodzenia*. „Myśl” 1892, nr 24. W „Dzienniku Lwowskim” pozycji nie odnaleziono.

⁵ Tej pozycji w „Przeglądzie Tygodniowym” 1893 nie odnaleziono.

⁶ Eleonora i Henryk Sikorscy.

⁷ Prawdopodobnie chodzi o zmianę miejsca pracy Franciszka Rejmenta.

16

[Krosnowa, 8 grudnia 1892]

Kochani Moi!

Nie będę Wam powtarzać, czego życzę Wam ¹ — nie — bo chyba czujecie, co ja mogę dla Was chcieć. — Sądziłem, że 26 XI spotkamy się w Warszawie. Nie byliście. Ja, ponieważ byłem bez urlopu — więc dość krótko — wstąpić do Was nie mogłem. Urlop po świętach biorę, to wtedy — z przyjemnością Was odwiedzę. Czy jedziecie do Piotrkowa ² na święta? Jeśli tak, to powiadomcie mnie łaskawie. Może bym mógł się wyrwać. Dawno bardzo w Piotrkowie nie byłem — i szczerze chciałbym tam się z Wami spotkać.

U nas śniegi — w pas. Roboty na linii, utykania po nocy i śniegu jest aż za dużo — a mnie — coraz trudniej znosić takie życie. Mam nadzieję, że się to wkrótce skończy.

Nie rozpisuję się długo, bo mam tak dużo pisaniny innej, terminowej, że w przyszłym tygodniu muszę zachorować, aby mieć z tydzień wolnego czasu — do wykończenia zobowiązań.

Całuję Was serdecznie i polecam Waszym patronom i inszym świętym.

Wasz W. S. Rejment

W domu — po staremu. Kamila ma samczyka³ — Mundzio w jedy-nastym niebie. Skapcaniał do reszty z tego.

R.

Krosnowa, 8 XII 92

¹ List pisany na imieniny bratowej, Leokadii.

² Zapewne odwiedziny u teściów brata pisarza.

³ Reymontowi przybył jeszcze jeden siostrzeniec, syn Kamili Munkiewiczowej — Janusz (1892—1937), później inżynier chemik.

17

[Wolbórka, 2 grudnia 1893]

Franku!

Kilka słów i ja dołączam¹, bez dodawania życzeń, boć wiesz, co i jak ja pragnę dla Ciebie.

Jutro wyprowadzam się do Warszawy. Przed świętami będę na pe u Ciebie, bo na same święta będę w Krakowie u Najdroższej² —

Całujemy Was: wszyscy co do jednego.

Twój

Wł. S. Rejment

2 XII 93, Wolbórka

¹ Jest to prawdopodobnie dopisek do listu siostry, Katarzyny, do Franciszka Rejmenta. Tekst na kartce oderwanej z listu; na dole pozostały końcówki dwóch wyrazów.

² Zapewne u Antoniny Szczygielskiej. Zob. list 18 oraz Burzecki, *Zygzałki biografii młodego Reymonta*.

18

[Warszawa, 24 lutego 1894]

Moi Kochani!

Jeżeli się gniewacie na mnie za milczenie, to żeby tak słusznie, nie powiem. Mam dosyć do roboty i pisania, ale to mnie nie usprawiedliwi przed Wami. Wybierałem się ciągle zajrzeć do Was i skończyło się na wybieraniu, bo w styczniu czekałem na pogodę, w lutym na czas swobodny i pierwszego ani drugiego się nie doczekałem. Wpaść zaś na jakieś

godzin parę nie miałem chęci, ale przed 15 marca będę z pewnością. 1 marca jadę do Krakowa, zabawię tam z tydzień i jadąc z powrotem, będę wstępował po kominkach. Mam w powrotnej marszrucie Częstochowę, Radomsk¹, Anielcię, Wolbórkę, Łódź, Skierniewice i Nadarzyn.

Siedzę w Warszawie od początku grudnia. Pierwszy miesiąc przeżywałem się tylko. W styczniu wlałem do „Codziennego Kuriera”² — i jakoś się ciągnęło z biedą żywot. W lutym otwarto mi „Tygodnik Ilustrowany”, gdzie mi pomieszczono jakąś nowelę, która zrobiła furorę w światku literackim³. Teraz mam za wiele miejsc do pomieszczenia swoich utworów, bo zaprosił mnie „Wędrowiec”, „Niwa” i „Gazeta Polska”⁴ — nie licząc swojego kochanego „Głosu”, który u mnie stoi na pierwszym planie. W końcu marca zaczną wychodzić z dłuższą pracą w „Tygodniku”⁵ i z jeszcze dłuższą, bo przez jakie dwa miesiące, w „Głosie”⁶.

Ot, roboty jest, tylko bieda, wprawdzie weselsza niż przedtem — jak była, tak jest, ale z nią mniejsza. Można, a raczej ja miałem czas przywyknąć do niej.

Juści, że próżniactwo uprawiam przede wszystkim, bo choć moc zbyt wielu znajomości puściłem, ale jest ich zawsze tyle, że się ma gdzie codziennie przepędzić wieczór. Marzę o tym, aby wyjechać mój na lato, a raczej jego początek. Potrzebuję na jakie dwa-trzy miesiące odosobnić się od ludzi i robić — robić — robić. —

Mieszkam u Henryków, bo, jak i Wam wiadomo, wyjechali do Abbazii, i czują się tam zupełnie dobrze, tak przynajmniej piszą do nas. Miałem u nich wziąć godność r z u n d c e g o, ale Drabik, który się zajmował dotychczas operowaniem interesów domowych, pozostał na stanowisku, a ja tylko mam czynność kawałka mężczyzny potrzebnego zawsze, gdzie niewiasty zostają same. Nie uśmiechała mi się wcale, co prawda, perspektywa wypełniania rubryk urodzeń, śmierci, wyjazdów i przyjazdów i stróża nie chcących płacić lokatorów. Mam zaś mieszkanie darmo, no i babkę Sosińską, ciotkę Sikorską i Manię — Romka, za towarzystwo których muszę płacić, ale — rozstrojem nerwów. Bo wiercie mi, że tysiąc razy lepiej przebywać z chłopami, nawet z trzodą, niżli z bydlęciem miejskim — a do tego z egzem[p]larzami podobnymi jak wymienione. Wykręcam się od przykrości ich towarzystwa, przebywając jak mogę najmniej w domu. W każdym razie prowadzę żywot wcale nie solidny i czysto literacki, bo bez porządnego *locum* i regularnego stołeczka. Zaczęne matrony zacnych domów, gdzie są jeszcze zacniejsze latorośle dziewicze — patrzą na mnie jak na mieszkanka Otaiti⁷. Nie jestem partią. Pocieszam się tym, że nie jestem stworzony na pantofel jakiej gąski, no i kocham się na śmierć i życie nie tylko w swojej Tosi, ale i w sztuce, która może wystarczyć za wszystkie dziewice świata i ich wdzięki.

Mania pojechała do Ojca, zabierając ze sobą Zosię, a w czwartek pojechała na Wolbórkę i Kasia. Mają z Manią jechać do Częstochowy odwiedzić Kazia⁸. U Kostków nic nowego — bo i cóżby: dziatki wyją, co się zmieści, Kocio chłapie piwo. Kasia słabuje, interes i ten węglowy, i ten łokciowo-nożyczkowy, i ten domowy — wlecze się jakoś. Groszy tyle, ile trza niezbędnie, mają. — Ot, wszystko. Co zaś w domu sły-chać — niewiele wiem. Jania była tu dni kilka w lutego połowie drugiej, jeździła potem na wesele Edka Szmidta⁹ — ożeniło się bydlę. Anielcia była także w Warszawie dni kilka — i u nich po dawnemu, przyzwoita porcja kłopotów i dzieci — rośnie równocześnie. A Mundzie — jak Mundzie. On głupi, jak był — ona zaś zdrowa, jak nie była. Prawda, że byli u Was. Nawet tak urzędownie nie pytam się, co słyhać u Was, bo cóż nadto, co było lub co wyczuwam, że może być — jest? Przebaczenie mi nie-pisanie. Widzicie, jest się tygodniami całymi niepoczytalny po prostu. Pi-suję codzienny felieton do „Codziennego”¹⁰ — więc już czasami aż zdycham z tego kierunku, z tej piły — i o czym innym trudno myśleć, jak nie o odpoczynku.

Opowiem Wam więcej szczegółów przy widzeniu. Bardzo zimno u Was? Tak mi ciągle brak czasu do wyspania się porządnego, że choćby dwa dni i noce obiecuję sobie u Was przespać. Do Krakowa jadę w czwartek rano. — Czeka mnie tam co prawda gruba uciecha, ale mo-je finanse już lament podnoszą.

Całuję Was oboje serdecznie, mówiąc tylko do widzenia.

W a s z

Wł. S. Rejment

Warszawa, 24 II 94

¹ W Radomsku mieszkał ktoś z licznej rodziny.

² *Na bruku*. „Kurier Codzienny” 1894, nr 347.

³ Zapewne *Zawierucha*, którą „Tygodnik Ilustrowany” drukował w 1894 (nry 6—7).

⁴ Pozycje nie odnalezione.

⁵ Ten zamiar nie doszedł do skutku. Dopiero w czerwcu zaczęła wychodzić *Pielgrzymka do Jasnej Góry* („Tygodnik Ilustrowany” 1894, nry 24—36).

⁶ *Franek. Szkic z teatralnego życia*. „Głos” 1894, nry 14—17; *Korespondencje ze Skierniewic*. Jw., nry 1, 12.

⁷ Tahiti.

⁸ Kazimierz Morawski — syn Zuzanny z Jakimowiczów (siostry Konstan-tego) i Antoniego, zmarły niedługo potem w Częstochowie.

⁹ Edward Szmidt — syn Marianny z Kupczyńskich, siostry matki pisarza.

¹⁰ „Kurier Codzienny” (1894, nr 38 z 7 II) ogłosił humoreskę G n o m a *Kłosek*. Autorstwo Reymonta wydaje się niewątpliwe, gdy przytoczyć następujący *passus*: „Pierwsze moje kroki na scenie były dość niefortunne, tak że musiano mi wy-

perswadować wszelkie role kochanków lirycznych, a natomiast używano mnie w charakterach poważnych lokajów, utrzymując, iż stopniowaniem zrobię większe postępy". — Codziennego felietonu nie odnaleziono; można tylko przypuszczać, że pisał cykl artykułów pt. *Z bruku i zagona*, pod pseudonimem Szczęsny.

19

Warszawa, 20 VI [18]94

Środa

Moi!

Ogłoszenie dopiero będzie w niedzielę i we wtorek przyszłego tygodnia. Nie moja w tym wina, tylko zbieg pewnych okoliczności sprawił to opóźnienie. P. R... przez kilka dni nie może być na Długiej, więc ogłosiwszy w tym czasie, nie miałby kto zgłaszających się informować. Otóż on zaproponował, aby po informacje gdzie indziej, a mianowicie do Matki jego się zgłaszali. Jednym słowem, opóźnienie ¹.

Ja jeszcze z Wolf[f]ami nie skończyłem co do wydawnictwa książkowego ² — dopiero w piątek ma stanąć ostateczna umowa pomiędzy nami. Może wezmę siła pieniędzy, a może przeciwnie. Zastałem w domu list od Tosi. Wybiera się na 6 tygodni z jedną z opiekunek na Rugię — to gdzieś na Morzu Bałtyckim. Otóż to mi się ogromnie podoba — gotów jestem sprzedać wszystkie swoje arcydzieła po niższej cenie, byle zgromadzić moc pieniędzy i hajda na Bałtyk słoneć niby śledź ³. *Pielgrzymka* ⁴ bardzo dobrze wychodzi w druku, robi porządne wrażenie w naszym światku. Całuję Was serdecznie. Przed ową wyprawą solankową będę u Was.

Wasz Wł. S. Rejment [!]

Kartka pocztowa. Adres: Wielmożny / P. Fr. Rejment / w Nadarzynie / przez St. Dr. Ż. W.-W. Pruszków. Stemple: 6 Варшава, I экс., 10 VI 1894; Прушков, Варш. Г., I почт. отд.

¹ Może chodzi o starania związane z kupnem czy też zamianą apteki prowadzone przez Franciszka Rejmenta.

² Umowa o *Komediantkę*: Warszawa 1896. Drukował ją „Kurier Codzienny” (1895, nry 179—355).

³ Ślady późniejszej wyprawy Reymonta do krajów bałtyckich odnajdujemy w korespondencji z S. Przybyszewskim (1898—1899). Zob. „Ruch Literacki” 1937, nr 5.

⁴ *Pielgrzymka do Jasnej Góry* wychodziła w „Tygodniku Ilustrowanym” z rysunkami A. Austena (oznaczona datą: „Wolbórka, 3 V 1894”).

Londyn, 14 VII [18]94

My Dear!

Mój złoty, piszę do Ciebie z Anglii¹, ni mniej ni więcej. Że się zdziwisz, w to wierzę. Ano — trafiła mi się sposobność dość taniego przejechania się i pojechałem. Jest nas kilka osób, a pomiędzy nimi i Dryzda... W Berlinie byliśmy dni dwa, coś w Magdeburgu, w Pyrmont kilka godzin, w Kolonii także. W Brukseli, Rotterdamie, Hadze zaledwie w przelocie. Wsiedliśmy w Ostendzie na statek. Morze jest zachwycające, ale było tak rozbrykane, że jeszcze dzisiaj czuję go we wnętrznościach. Chorowałem potężnie. Ten kanał La Manche to stary wariat, zawsze się wścieka. Wyszliśmy w Doverze, stąd już koleją do Londynu.

Cóż Ci pisać o tym kolosie potwornym? Jest to taki ogrom, jakiego sobie nikt nie jest w stanie wyimagiować sobie [!]. Ruch okropny, potrzeba niemal godzinami stać i czekać sposobności przejścia z jednej strony ulicy na drugą. Na ulicach trzeba się wprost przepychać, taki ścisk. Co za domy! A jakie konie i kobiety! — Wczoraj zbłądziłem w British Museum i z trudem wyszedłem. Doki londyńskie, tj. miejsca ładunków okrętowych, to cuda istotne, jakich nie ma nigdzie w świecie. Omnibusów miliony. Koleje gęstą siecią nad miastem i pod miastem. Daruj, że nie piszę więcej, ale absolutnie brak mi czasu. Będę tu jeszcze z tydzień. Czy można zajechać do Was na jaki tydzień, a najwyżej dwa? Odpisz zaraz. Jeśli list ten odbierzesz we wtorek najdalej, to pisz do Londynu, a jeśli później — to do Berlina. Powracamy na Paryż — Marsylię.

Twój
W. S. R.
Całuję Was

Kartka pocztowa. Adres: Wielmożny / Fr. Rejment / w Nadarzynie / Railway Station W.-W. Pruszków / Russia — Poland. Adresy zwrotne: Londyn, Buckingham Temperanc[e] Hotel / Bucking[h]am Street; Berlin, Graham Haus, Dessauer Strasse Nr 31. Stemple: London, July 16. 94; Прышков, Варш. F. I почт.орд., 6 VII 1 894

¹ Podróż odbył Reymont w towarzystwie warszawskiego lekarza homeopaty, Józefa Drzewieckiego. Zob. J. Lorentowicz, *Spojrzenie wstecz*. Wyd. 2. Kraków 1957, s. 5—10.

[Londyn, 21 lipca 1894]

Moi Drodzy!

Narzekacie zwykle, że ja nie piszę, otóż teraz na mnie kolej mówić toż samo. Pisałem do Was coś dwa tygodnie temu, zaraz po przyjeździe do Londynu, i do dzisiaj czekam odpowiedzi. Możecie nie odebrali?

Darujcie, że musicie płacić za list podwójne porto. Piszę w niedzielę, a w Londynie w ten dzień absolutnie nic nie kupi, nawet marki. Niedziela jest tutaj bardzo nudną, przy tym pogody są wprost obrzydliwe. Od dwóch tygodni nie widziałem słońca. Deszcz i mgły.

Prawie chory jestem. Co mi jest, nie wiem dobrze. Ale ledwie łązę i chciałbym przez to jak najprędzej wrócić do kraju. Prawdopodobnie umęczyłem się tą włóczęgą, bo całe dwa tygodnie w Londynie, tą jazdą z jednego końca Anglii w drugi, że człowiek ani śpi, ani jeść może, tym bardziej że tutejsza kuchnia przez swoją zupełną odrębność źle robi na moje skolatane organy trawienia.

We środę jadę do Paryża, z powrotem wracamy na Anglię znowu i dopiero z Londynu jedziemy do Antwerpii i do Holandii. Juścić, że zejdzie jeszcze ze dwa lub trzy najmniej tygodnie w drodze. Piszę coś z tych wrażeń podróży do „Kuriera Codziennego”¹, ale niewiele, ani części tego, com się zobowiązał, bo nie mogę nic robić, za dużo jest nowych rzeczy i ludzi, musi się to wszystko w mózgu odleżeć i przetrawić.

Nikt mi tu z naszych i słowa odpowiedzi na listy nie przysłał. Ha! to już ich słaba strona, że nie czują nigdy potrzeby dzielenia się sobą i myślami albo wprost nie mają się czym dzielić.

Wydalem na próżno na marki; teraz, tj. na przyszłość, nie będę głupi.

Londyn mnie męczy ogromnie, bo miasto rozsiadło się mniej więcej na takiej przestrzeni jak z Warszawy do Koluszek² — 5 milionów ludzi przecie. Robi się szalone kursa piesze. Przechadzki jak do Grodziska lub Rudy nie są jeszcze osobliwościami.

Co tam u Was słyhać? Siedzicie cicho, trawicie dobrze, nudzicie się w miarę, kłopotczecie odpowiednio, ot, i dobrze Wam przy tym wszystkim, tj. nie najgorzej. Ja zaś przy zadowoleniu z jazdy mam jakąś i gorzyc w sobie, jestem smutny. Bóg wie czego, ot handra mnie napadła i ssie. Może to niestrawność jest przyczyną tych srogich smutków duszy, a może tęsknota, nie za nią, ale, jak zwykle u mnie, za czymś nieokreślonym.

Mnie tylko było dobrze czasami na Krosnowie, kiedy nie potrzeba było iść na linię, tytuń był i była pewna miska kartofli u gospodarzy, a siedząc w swojej norze brudnej i ciemnej snuło się złotą przędzę marzeń i tworzyło się światy nowe i ludzi dobrych, choć papierowych. Teraz wiem, że mi już nigdzie dobrze nie będzie, nigdzie i nigdy.

Może będę sławnym, może będę bogatym, ale zadowolony z życia to czuję, że nigdy nie będę!

Brak mi jest równowagi. Gdybym mógł nie czuć nic lub nie myśleć — ale to niemożliwe. Prawda, że mnie raczej przystoi błazeńska czapka

niż surowa mina powagi i zadumania? — Jeżeli mi zechcesz odpisać, to już do Berlina, bo tutaj ani w Paryżu może mnie list nie zastać. Odcyfrujesz może moje h[i]eroglify, co?

Po powrocie do kraju mam zamiar odpocząć ze dwa miesiące u Ojca, więc z tydzień będę i u Was, dobrze? Będzie to odpoczynek co prawda pracowity, bo chcę tylko jeść, spać i pisać.

W Piotrkowie po wyjeździe od Was nie byłem. W domu także — nie miałem czasu. Ale teraz zrobię sobie wakacje istotne i poodwiedzam wszystkich swoich.

Good bye! mówię z angielska ³.

Całuję Was serdecznie, przesyłając moc pozdrowień.

Znajomym ukłony.

Wasz brat

Wł. S. Rejment

Londyn, 21 lipca 1894 r.

Adres berliński: / Berlin, Dessauer Strasse / Graham Haus Nr 31 /
taki pan to i taki

¹ *Lato za granicą*. „Kurier Codzienny” 1894, nry 207, 228.

² Wbrew pozorom nie ma tu przesady. Londyn już w końcu XIX w. zajmował przestrzeń około 300 km².

³ Reymont uczył się kilka miesięcy angielskiego. Zob. J. Krzyżanowski, *Z pierwszego pobytu Reymonta w Londynie*. „Ruch Literacki” 1937, s. 150—152.

[Warszawa, 5 grudnia 1894]

Kochani!

Nie pisałem, bo nie miałem czasu, to jedno, a drugie, że trochę się obawiałem, a trzecie, że chciałem osobiście zjawić się u Was — ale... Opowiem od początku: siedziałem całą jesień u Ojca i napisałem ogromną co do rozmiarów, nie wartości, powieść. Pochłonęła mi ta robota miliony czasu i jeszcze więcej sił — że przyjść do siebie nie mogę. Wedle zapewnień Gawalewiczów, Pługów itd. powieść owa ma być *echt* dobra — ale z tym mniejsza. Prawdopodobnie będzie drukowaną w „Kurierze Warszawskim” ¹. Monety będzie huk! radości całe rzeki. Bądź co bądź, stanę już na nogi rzetelnie. Żałuję bardzo, że nie widziałem się z Tobą, Franku, ale przyszedłem do Kasi dopiero wieczorem. Przez jakieś dwa tygodnie nie robiłem prawie nic większego. Ale przyjechać nie mogłem, bo różne drobne, parszywe sprawy mnie zatrzymywały; teraz znowu biorę się do większej roboty dla „Ateneum” ² i znowu mam zamknięcie. Przeprowadziłem się od Henryczków. Mieszkam na Kanonii — cudow-

na cisza i jakoś tam pcha się. Moi złoci, Locia i Franku, ja Was zawsze miłuję, czy piszę słodkie listy do Was, czy też przeciwnie. Więc Wam życzę dobrze tak samo przed imieninami, jako też i w dniu imienin.

Spieszę się, więc kończę. Całuję Was serdecznie, jeżeli chcecie, napiszcie.

Aha, z pewnością wpadnę do Was przed świętami, bo muszę być koniecznie w Tworzech u p., zatem do widzenia.

Wasz

Wł. S. Rejment

5 XII 94

Adres: / Kanonia nr 8, mieszkania 6 / albo „Tygodnik Ilustrowany”

¹ Zapewne *Komediantka*; wychodziła w „Kurierze Codziennym”. Zob. list 19, przypis 2.

² Być może *Tomek Baran* („Ateneum” 1895, t. 3).

23

[Rzym, 25 kwietnia 1895]

Moi złoci.

Słowo stało się ciałem i dlatego piszę do Was z wiecznego miasta; z miasta Cezarów, papieży, lazarionów, sałaty i czarnych ludzi, jednym słowem — z Rzymu. Ot co! Jesteśmy tutaj w paczce, bo Kostusowie z Zosią, Henrykowie, Wągrowska i jedna z galaret panieńskich, p. Bieńkowska.

Wyjechaliśmy z Warszawy dopiero w środę po Wielkiej Nocy, bo rozmaite krakowskie szopki opóźniły wyjazd. Właściwą pielgrzymkę odłożono do maja, ale myśmy czekać nie chcieli i wyrwaliśmy się, a do nas przyłączyła się banda złożona ze 106 osób i podróżujemy sobie w towarzystwie, co prawda ani zbyt pięknym, ani zbyt miłym, ale cóż robić. Bandzie tej Henio zakrystianuje z powodzeniem. Kapitałny na sposób katolicki idiota! W Wiedniu byliśmy dwa dni, tyle akurat czasu, aby Kocio mógł się po uszy uraczyć oryginalnym pilznerem, ale z Wiednia mieliśmy potężny kurs drogi przez Styrię, Alpy do Padwy, 38 godzin w wagonie, i do tego w wagonie 3 klasy. No — jeszcze dzisiaj czuję to w kościach potężnie. Z Padwy, gdzieśmy siedzieli dzień, na Bolonię, Rimini, Anconę do Loreto. Cudowne miejsce! Z Loreto do Asyżu! Drugie cudowne miejsce — Twój patron, Franku. Nasze kobiety obłykały się tyle odpustów, że śmiało im wystarczy do końca życia. Ja z Kociem łykamy tylko wino, które jest wcale dobre i ogromnie tanie, bo można za 40 groszy litr kupić, ale jedzenie pod psem. Od Wiednia nie jedliśmy ludzkiego obiadu. Mięsa mają wygląd rozgotowanych kaloszy — zupy nie powiem czego, jedne sałaty są świetne. Wynagradza stokrotnie wszystko wiosna włoska. Jest pięknie, że tego się nie da łatwo opowie-

dzieć. Drzewa w kwiatach, pola w zieloności. Rzym to wielkie miasto, na gwałt przerabiane na modłę europejską. Na ulicach aż się mrowi od policji i księży — Jezus! jeszcze nigdy tego robactwa nie widział tyle od razu. Swoją drogą, jestem olśniony, nie miastem, a kościołami. Przecież znam Londyn, Paryż, Wiedeń, Berlin i Kolonię, tj. wszystkie ich najwspanialsze kościoły, ale wszystkie one są niczym przy Ś. Piotrze rzymskim — ot, budy przy pałacu. Są to nie do opisywania rzeczy. Kościół, który pomieścić może 80 tysięcy ludzi! Kościół, który wewnątrz nie ma jednego cala kwadratowego, żeby nie był pokryty najcudniejszym marmurem, rzeźbą lub jakim arcydziełem.

Posiedzimy w Rzymie co najmniej z tydzień. Pojedziemy następnie do Neapolu i z powrotem na Florencję, Wenecję, Wiedeń do domu. Wycieczka cudowna. Mam pisać do „Gazety Polskiej”¹ sprawozdania, ale do dzisiaj nie napisałem nic jeszcze, bo ani czasu, ani chęci nie mam, co tu pisać, kiedy chce się właśnie nie robić nic, tylko patrzeć i patrzeć.

Swoją drogą, od jutra już się muszę zmusić do roboty, bo groszy trza.

Bazgraninę moją musisz tam jakoś odcyfrować, ale już lepiej pewnie nie napiszę, bo mi i pilno, i spać mi się chce, piszę po całodziennym lataniu po Rzymie. Ulokowano nas przy Watykanie, u jakiejś Ś. Marty, gdzie płacimy za całodzienny wikt z mieszkaniem 3 i 1/2 lira, tj. około 9 złotych. Tanio jest, ale i podle także jest. Mnie tu dzisiaj przyszły gryzące refleksje, że to Ty nie możesz się wyrwać w świat, aby coś zobaczyć — chyba muszę już za nas obojwóch oglądać świat, co? Muszę skończyć, byłoby za dużo do pisania, a nie mam czasu i czuję zresztą, że piszę bez sensu. Napiszę do Ciebie może z Neapolu, może gdzie z Wenecji. W każdym razie napiszę. Całuję Was oboje serdecznie i rzucam: do widzenia. Zaraz po przyjeździe do kraju wstąpię do Nadarzyna.

Wasz

Wł. St. Rejment

Rzym, 25 kwietnia 1895

Adres rzymski do 5 maja: / Don Vicenno Miś / 17 via delle Zoccolbette, presso Ponte Sisto / Roma, Italia, dla tego i tego ...

P. S. W niedzielę Zosia idzie do pierwszej komunii, będzie ją komunikować sam papież, jak i Kasię i innych wybranych. Ogromna przeto radość w naszej gromadce².

Adres na kopercie: Monsieur / Francesco Rejment / Pharmacie / à Nadarzyn / par Pruszków Stations W.-W. Ż. Drogi / Rus[s]ie — Pologne. Stemple: Roma Ferrovia, 26—4—95; Варшава, 17 IV 1895; Пр ушков, Варш. Г., I почт. отд., 17 IV 1895

¹ Z włoskich wrażeń. Notatki. „Gazeta Polska” 1895, nry 156—158, 173, 175, 181—182, 202.

² Zdarzenie to zachowała w pamięci jedna z bohaterek ceremonii, Zofia Borucińska. Zob. W. S. Reymont, *W Watykanie*. W: *Pisma*. Opracował i do druku przygotował A. Boruciński. T. 1. Warszawa 1952.

24

[Wolbórka, 17 listopada 1895]

Mój Drogi.

Dopiero Ci odpisuję, bo nie miałem czasu wcześniej. Jeszcze co prawda i teraz mam roboty wyżej uszów, bo powieść¹ kończę dopiero, ale skończę zupełnie w Warszawie, dokąd wyjeżdżam we wtorek 19 bm. Mam już dosyć wsi, powietrza, sielanki i nudów. Tak dosyć, że mi samych wspomnień wystarczy na czas dłuższy. Jestem przy tym śmiertelnie zmęczony robotą, co chcesz, dwa miesiące tak orać, jak ja orzę, i jeszcze w takich warunkach, że się nie ma gdzie orzeźwić, nie można się rozerwać nigdzie i ani na chwilę zapomnieć o robocie, to diablo męczy. Dlatego też już wyjeżdżam.

Za list bardzo dziękuję, ale, Franku, ja zawsze piszę wtedy, kiedy mogę, i przyjeżdżam wtedy, a tego „mogę” nie wiem nigdy dnia ani godziny. Więc mi przebac, bo to nie leniwość, ani tym bardziej brak pamięci, czego Ci wprost nie wolno przypuszczać.

Byłem kilka razy w Piotrkowie u p. K.², ale już na pożegnanie nie pojadę, bo mi absolutny brak czasu. Przed świętami jeszcze przyjadę, to powetuję i przeproszę.

Zajmuję Cię swoimi sprawami od początku, to słuchajże i dalej: zrobiłem ze swoimi wydawcami Wolffami umowę świeżą na powieść z życia Łodzi³. Płacą dobrze i dają grubsze *a conto*, ale muszę na kilka miesięcy wyprowadzić się do Łodzi, aby na miejscu tam porobić studia odpowiednie, poznać tamten świat i interesa. Palę się w straszliwy sposób do tej powieści. Bo albo — albo. Albo padnę w taki proch, że chyba prawdziwym arcydziełem później uda mi się wydobyć z nicości, albo od razu zrobię kroków sto naprzód i stanę w pierwszym rzędzie. Myślę to drugie zrobić, ba! mało; zrobię to; bo gdybym inaczej czuł, nie podejmowałbym się. Takie są moje plany najbliższe. Paryż, do którego byłbym pojechał, odkładam na później, na rok drugi, wiem, że mi nie ucieknie, a to, co zamierzam, ważniejsze jest dla mnie. Wyprowadzę się do Łodzi od Nowego Roku.

Z ożenkiem, wszystko jest, jak było, bo ten czas na wsi przepędzony nie mógł sprawy posunąć naprzód, mógł ją jedynie cofnąć. Byłem na imieniny p. J.⁴, kupiłem wspaniały bukiet za coś 16 fajek, no itd. Jak się to wszystko skończy — przed wyjazdem do Łodzi będę wiedział. Ale Ci się w sekrecie przyznam, że o ile z rozmaitych względów

pragnąłbym się ożenić z p. J. — tyleż znowu powodów, jeśli nie więcej, mąci mi chęci. Czasami się boję, czasami czuję, że ja w ogóle nie powinienem się zupełnie żenić, że może mi to przeszkadzać w moim zdobywaniu świata, a czasami znowu zdecydowany *à tout prix* ożenić się. Przy zobaczeniu się pogadamy obszerniej. Jak ci się podobał mój *Tomek Baran* i *Spotkanie* ⁵? He?

Chcesz wiedzieć, co w domu słyhać? Żle, źle i raz jeszcze: źle! I wierz mi, że lepiej nie będzie, być i nie może. Znasz Ojca! Sknerstwo posunął do głupoty, do własnego zjadania się. Nie zmusisz go niczym, żeby dał rubla na cel, który może przynieść dwa ruble zarobku: bo chociaż to sam rozumie, ale nie da, nie zaryzykuje. To, co powiem, nie jest przyjemnym — otóż większego próżniaka ja nie znam na świecie, nie można by przypuszczać nawet, że istnieje — ększego egoisty, nawet Balzak nie wymyślił ⁶. W tych dwóch rzeczach y zło, przez nie się tak dzieje, jak się dzieje. Będzie płakał, ale do ... w nocy nie pójdzie, będzie przed światem całym, przed babami narzekał na biedę, będzie wiedział, że go czeladnik kradnie, jak to robił ostatni, ale go nie wyrzuci; dlaczego, myślisz? Bo potrzeba by szukać nowego, bo może wypadłoby być z jeden dzień we młynie. Narzeka od trzech miesięcy na brak służby i od trzech miesięcy nie chce mu się ruszyć od pieca i pierzyny i pojechać szukać tej służby. Narzeka, dajmy na to, że się w młynie prawie nic nie robi, ale od dwóch miesięcy wybiera się jechać do Warszawy, kupić francuskie kamienie, których brak; przez to nie robi się, bo połączyli jeden pozostały francuski z piaskowcem, który służył przed domem za stół i tak mieli — w mące piasek, nikt, ma się rozumieć, nie chce tego.

Dlaczego nie jedzie — bo mu żal pieniędzy, pomimo że rozumie straty, jakie z tego wynikają, ale ból z rozstaniem się z rublem odczuwa głębiej, no i trzeba by jechać i zająć się tym. Wszystko się psuje, gnije, rozwala, bo nie można zreperować, bo nie ma się kto tym zająć. Ojcu się nie chce. W ostatnich tygodniach myślał i mówił tylko, że zaraz umrze, bo puchlina wodna dochodzi mu do serca. Wierz mi, że to obrzęknięcie, któreś widział, jeśli nie zupełnie zniknęło, to jest niedostrzegalne. Całe dnie czytywał tylko tę głupią metodę Kneip[p]owską ⁷ — i nic nie chciał myśleć, bo się tłumaczył, że zaraz umrze, ba! nawet nad Helcią już płakał, że co ona po jego śmierci robić będzie, że ją skrzywdzą te gałgany.

Wierz mi, że ta farsa jest tragiczna; bierze mnie nieraz śmiech, ale częściej mi się płakać chce. Nie myślałem, że jest Ojciec, i to nasz Ojciec, dla którego żadne obowiązki ojcowskie nie istnieją, który wprost nienawidzi własne dzieci, który tylko myśli o sposobie, jak by się pozbyć wszystkich, jak by zrzucić ten ciężar w y c h o w y w a n i a

i opieki z siebie. Jest to potworne, ale niestety prawdziwe, i pomyśl, że to wszystko pochodzi z próżniactwa, takiego strasznego, chłopskiego próżniactwa, co to na gnoju będzie spało, bo ciężko jest zająć do stodoły na słomę. Przy tym, że gnębi wszystkich, że nie tracąc osobiście, wszystko marnuje i sam się męczy. Kiedy nieraz chciałoby się uderzyć, aby go poruszyć, wzbudzić jakiś prąd energii i chcenia.

Nie przesadzam, daję Ci słowo, że nie przesadzam, byłbym winien popełnienia pewnego rodzaju podłości, gdybym nawet przed bratem szkalował własnego Ojca. Twój projekt co do Mani na nic, bo nie znasz jej widocznie, to raz, a po drugie, z Ojcem kompromisów żadnych ani układów robić nie można stanowczo. Gdyby nawet włożyła swoją pracę, to pozwól, ale grubo wątpię o jej produkcyjności, co więcej, gdyby włożyła swój nawet kapitał — to mogłoby się poprawić o tyle, o ile tą pracą i tym kapitałem chciałby i umiałby Ojciec obracać. Kapitał i pracę Ojciec by przyjął i zużył, ale ona oprócz codziennych kłótni i codziennego znoszenia tysiąca uwag nie zyskałaby nic, nawet procentów — bo ojciec nie czułby się w obowiązku kupić jej nawet bucików, jeśli Waci, która rok cały robi, i robi naprawdę, sprawił te buciki (jedne na rok) po wstrętnej, wprost oburzającej awanturze, której sam byłem świadkiem. Pamiętaj, że człowiek, który absolutnie nie liczy się z niczym, dla którego nie istnieje etyka, sumienie, ojcostwo, a który pomimo tego nazywa się dobrym i uczciwym człowiekiem, nie robi nic, jeśli nie poczuje wprost pięści nad karkiem. Tacy ludzie jeśli co robią, to tylko ze strachu lub jeśli ich próżniactwo jest zagrożone. Tak, ja to wszystko piszę o własnym Ojcu. Pozwól, że Ci coś napiszę i o dzieciach.

Zaczniemy od najstarszych:

Dam spokój z resztą, ale tylko powiem, że większość nie anioły, nie ludzie nawet, tylko kobiety o ciasnych mózgach i egoistycznych sercach. Jania powinna się poczuwać do jakiego takiego pomagania Waci, tym bardziej że ta sama wszystko robi, ale Jania ma przewrócone w głowie. Jania marzy, i żebyś zdechł, żebyś jej na kolanach tłumaczył, że przede wszystkim żyje się tak, jak żyć można, nie uwierzy, nie ustąpi nic z uporu i z egoizmu, dla niej istnieje tylko „ona” — reszta o tyle, o ile jej nie przeszkadza.

Boże! ale moje rzemiosłowe poznawanie ludzi nie daje rozkoszy i tak rozgorycza, że mam chwile, w których bym rzucił cały ten podły i marny świat ludzki i zagrzebał się w jakiej dziczy.

Najważniejszą rzeczą ludzką, bo z tego wypływa szczęście lub nieszczęście, jest uświadomienie sobie — siebie w stosunku do otoczenia i *vice versa*. Otóż moje siostry nie wiedzą, czego mają żądać od życia, do czego mają prawo niejako, stąd rozdźwięk i stąd ich nieszczęścia, zawody, niezadowolenie.

Nie zgryźliwość dyktowała mi powyższe uwagi, tylko ból i litość. Daruj mi. Kto patrzy w dna studzien, musi ich odbicie mieć w oczach i na świetle dziennym. W grudniu będę z pewnością u Was. Odpisz mi, jeśli zechcesz, a zechcesz?

Całuję Was serdecznie.

Wasz brat
Wł. St. Rejment

Wolbórka, 17 XI 95

Adresuj listy: Nowy Świat nr 52 m. 21

Wstąp do mnie, jeśli w Warszawie będziesz.

¹ *Fermenty*. „Biblioteka Warszawska” 1896, t. 1—4; wyd. książkowe: Warszawa 1897.

² Kępińskiego, teścia Franciszka Rejmenta.

³ *Ziemia obiecana*. „Kurier Codzienny” 1897, nry 2—259; 1898, nry 183—238; wyd. książkowe: Warszawa 1899.

⁴ Osoba nie zidentyfikowana.

⁵ *Spotkanie*. „Tygodnik Ilustrowany” 1895, nry 43—47 (z ilustracjami A. Kamińskiego).

⁶ Stosunek Reymonta do ojca znalazł w pewnej mierze odbicie w *Chłopach*, w konflikcie między starym a młodym Boryną. — Balzaka znał pisarz zapewne z 8-tomowego *Wyboru dzieł* (1880—1884).

⁷ S. Kneipp, *Moje leczenie wodą*. Warszawa 1895.

Mój Drogi!

Daruj, że czekałeś na mój list tak długo, obiecuję Ci najsolennie, że to po raz ostatni. Wpłynął na opóźnienie — Paryż, a raczej to moje gwałtowne przystosowywanie się do życia tutejszego; wpłynęła także robota, jaka mnie całego pochłonęła — pisanie owej łódzkiej powieści, o jaką się właśnie dopytywałeś ciekawie. Powieść ową, która ma tytuł: *Ziemia obiecana*, piszę dopiero, napisałem zaledwie jedną część. Drukować ją będzie „Kurier Codzienny” i „Nowa Reforma”¹ w Krakowie, dokąd sprzedałem jej przedruk przed paru tygodniami. Jakiś ułamek powieści już wysłałem do redakcji, bo szturmowali prawie codziennie depeşami o to, a resztę skończę w ciągu stycznia. Czy to będzie świetna czy tylko dobra rzecz — nie wiem, wiem tylko, że musi być lepszą od *Komediantki* i od *Fermentów*, które się już skończyły drukować w ostatnim zeszycie „Biblioteki Warszawskiej” za grudzień. Ale à propos *Komediantki*, ciągle jeszcze w rozmaitych pismach sączą się o niej sprawozdania i bywają zwykle bardzo, ja powiem, że za bardzo po-

chlebne². Ale krytycy znają się tyle na sztuce, co ja na hodowli drobiu.

Niech im Pan Bóg nie pamięta tych pochwał, jakimi mnie darzą, jednym słowem, czort z nimi.

Ciekaw jesteś mojego życia w Paryżu?

Jakoś się tam żyje — odpowiedź ta będzie najogólniejszym a bardzo polskim określeniem³.

Bo mówiąc ściśle, teraz prawie nie żyję, piszę bowiem tylko; cały czas zajęty mam zupełnie powieścią, a [w] chwile wolne od roboty, od spania, jedzenia itp. funkcjonowania włóczę się po kawiarniach i po mieście — jest to rodzaj odpoczynku, no i codziennie, na osłodę tej doli, biorę godzinę francuskiego⁴. Widzisz więc, że żywot mój nie jest zbyt wesołym, co najwyżej ma urozmaicenia pewne. Dla urozmaicenia właśnie w końcu lutego wyjeżdżam do Hiszpanii. Jadę na tak zwaną „artystyczną podróż” z jednym z malarzów naszych. Ja będę opisywał kraj, on będzie go ilustrował. Marszruta taka mniej więcej: Paryż—Marsylia kolejną, stamtąd morzem do Barcelony i przez cały kraj, omijając Madryt, do którego nie będziemy nawet wstępować, przez Kastylię, Katalonię, Andaluzję znowu do morza. Mała wycieczka do Maroka i Tangeru, a z tamtejszego portu Fezu powrót wodą do Havru. Juści, że to tylko szkielec projektu, zresztą zobaczysz, jaką drogą jechać będę, z listów i z opisów, które będę drukować prawdopodobnie w „Tygodniku”⁵. To są najbliższe plany.

Trochę dalsze są takie, że w czerwcu muszę być w kraju koniecznie (mam zamiar być trzy miesiące) i jechać na lipiec i sierpień na Ukrainę, do znajomych, jakich tutaj poznałem⁶.

Pytasz się, jakie mam i czy mam widoki utrzymania się tutaj dłuższego? Mam zupełnie takie, jakie mam w Warszawie — tj. żadnych oznaczonych z góry i wszystkie w możliwości. Powiem Ci, że Paryż nie kosztuje mnie drożej niż Warszawa, a nawet, jak dotychczas, znacznie taniej, bo w Paryżu żyję zupełnie wolny od więzów saloników, towarzystw, rautów itp. zawracań głowy, które mnie rujnowały pod każdym względem, bo nie tylko że zabierały czas, ale mnie rozleniwiały tak, że w końcu nic już robić mi się nie chciało. A zresztą w końcu musiałem już uciekać z Warszawy⁷. Zaplątałem się w najrozmaitsze, jedne głupsze od drugich, hece z kobietami, które mogły mnie doprowadzić albo do samobójstwa, albo do ożenienia się — wybrałem coś znacznie lepszego, ucieczkę; Paryż, a w rezultacie zagranica na czas dłuższy była i jest mi niezbędna. Tutaj żyję zupełnie życiem literatury, absolutnie zerwałem z życiem zwyczajnym, piszę, czytam, myślę. W tym można streścić moją egzystencję. Jest to rodzaj treningu intelektualnego, z którego wyjść muszę takim, aby móc śmiało zająć takie miejsce w literaturze, jakie zając zechcę.

Dawałem sobie zawsze radę (a bywałem przecież w tysiąc razy gorszych warunkach), to i tutaj nie zgine.

Zresztą, powiedziałem sobie dawno, że ja nie mogę się zmarnować, że mi nie wolno rozmiąć życia na głupstwa. Jeśli z tego wyciągniesz, że mam wielką, wielką ambicję — to Ci powiem szczerze, że nie; ponieważ wiem, że świat należy do tych, którzy go chcą wziąć. Więc swój świat wezmę — a wezmę dlatego, że nie znoszę stania w tłumie. Mogę być osobno, poza wszystkimi albo na czele, ta ostatnia pozycja jest — biorąc to filozoficznie — gorsza, ale i z niej można ludziom pluć w twarz. Życie moje, jak wiesz, płynie tak dziwnie, takimi skrętami bieży, że nawet mi nie wolno przepowiadać sobie samemu jutra, bo mówiąc po cichu, tak bardzo to ja nie dbam, co będzie. To będzie, co będzie, co zechcę, aby było. W tym zdaniu leży moje ja, że raz mną kierują losy, a drugi, że jak zechcę, ja kieruję losami swoimi.

Daruj, znudziłem Cię już pewnie porządnie tym gadaniem. Wierz, mi, ale prawdziwie dotknęła mnie przykro Twoja choroba. Co to jest i z czego?

Ze zdumieniem dowiedziałem się od Ciebie o Jani. Twoją wiadomość potwierdziła mi Kasia. Ja także napisałem do Ojca, tak jak mi radziłeś. Ale mi tylko przykro, że dziewczyny, do których pisałem przed miesiącem, zaraz po przyjeździe do Paryża, nie napisały mi ani słówka.

Rad bym z całego serca, aby Jance jako tako się powiodło, a nawet ten kandydat⁸, nie znam go osobiście, ale ze względu na swoje położenie wydaje mi się zupełnie możliwym. I gdyby się ożenił z Janką, to najsolenniejsz obiecuje zając się nim i poprotegować.

Nie uśmiechaj się z tego, chociaż sam przyznaję, że podobne słowa u mnie są prawie dziwnie brzmiące, u mnie, który przed kilku laty służyłem prawie za parobka na kolei, który się nie mógł doprosić 15 kopiejek podwyżki dziennie ani translokacji na lepsze miejsce.

W tym właśnie cała zygzakowatość mojego losu, że wczoraj w ostatnim przygnębieniu gnijący gdzieś w głębi prowincji, na nędznej stacji — dzisiaj znany dosyć, mieszkający w Europie.

Faktycznie jestem w bardzo dobrych stosunkach, prawie serdecznych, z różnymi ludźmi z Dyrekcji i z Rady Zarządzającej, którzy może by mi nie odmówili niczego, gdybym ich prosił.

Mniejsza z tym.

Czy Ty wiecznie myślisz siedzieć w tym podłym Nadarzynie? Zaczynam Cię nie rozumieć po prostu. Pomyśl, że najlepsze męskie lata tam przesiedzisz.

Znam Twoje warunki, które Cię przykuwają, ale jestem tego zdania, że nie ma tak ciężkich, których by się nie mogło zmienić na lepsze — jeśli się tego chce bardzo.

List ten piszę nie z samego Paryża, bo od dwóch dni siedzę u znajomych na prowincji Francji, pod Orleanem, u bardzo zacnych i dobrych ludzi, którzy mnie wprost gwałtem wyciągnęli z Paryża do siebie. Jak dotychczas, jest mi tutaj bardzo dobrze. Mam złudzenie, że mieszkam na wsi, w jakim szlacheckim, bogatym dworze. Mój gospodarz jest doktorem, zwie się dr. J. Gierszyński⁹, znana postać w medycynie francuskiej, bardzo tutaj ceniony i poważany, a zarabiający z 50 000 franków rocznie — uważasz! i rezyduje do tego na wsi! słyszysz, na wsi! Ale bo wiesz francuska jest zupełnie czymś innym niż nasza. Fermierzy tutejsi są okropnie bogaci. Nazywa się ten biednym, którego majątek dochodzi do cyfry 75 000 franków. Tutaj na wsi trzy czwarte panienchłopek ma posagi zaczynające się od 20 000 aż do 300 000 franków. Coś ogłupiającego po prostu. I taka dziewczka 300 000 robi w polu jak u nas zwykła Maryś. Później napiszę Ci obszerniej o tutejszych stosunkach, jeśli zechcesz. Pisz listy pod dawnym adresem: Rollin 6, ponieważ nie wiem, jak długo tu będę siedział. Myślę jednak, że z miesiąc, do skończenia powieści.

No, kończę już. Ciekaw jestem, czy odcyfrujesz moje kulfony, chociaż dzisiaj wyjątkowo pięknie piszę.

Z Nowym Rokiem, mój Kochany, Drogi Franku, przesyłam Wam najszczerze, z głębi duszy wyjęte życzenia lepszej doli i zdrowia. Całuję Was oboje serdecznie.

Wasz brat

Wł. St. Reymont

Quarvill[e], 4 I 96

¹ Zob. list 24, przypis 3, oraz „Nowa Reforma” 1897, nry 19—148, 184—234; 1898, nry 168—209.

² Np. W. Jabłonowskiego („Głos” 1896, nr 44, 45), M. Offmańskiego („Przegląd Literacki” 1896, nr 12).

³ Pewne szczegóły życia Reymonta w Paryżu przedstawił Lorentowicz (*op. cit.*), lecz jego sugestywne relacje nie całkiem są wierne. Nb. z listów Reymonta do W. Karwasińskiego (prywatne zbiory rodziny) wiadomo, że stosunki z Lorentowiczem nie były najlepsze.

⁴ Francuskiego uczył pisarza Lorentowicz.

⁵ Ta „artystyczna podróż” nie doszła do skutku.

⁶ Być może do Władysława Jabłonowskiego.

⁷ Na ten temat zob. Kocówna, *op. cit.*

⁸ Feliks Makowiecki (1871—1955) — późniejszy mąż siostry Reymonta, Joanny. Był dyżurnym ruchu na kilku stacjach Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej.

⁹ Henryk Gierszyński (ok. 1845—1930) — lekarz i działacz niepodległościowy. Zob. *Polski słownik biograficzny*.

[Warszawa,] 5 II [18]96

Mój.

Milczenie zupełne! Dlaczego? Pisałem podobną kartkę miesiąc temu i sądziłem, że również chociaż kartką odpowiesz. Siedzę jeszcze w Warszawie, bo moje sprawy hymenowe¹ splątały się nieco i trzymają mnie silnie, ale najdalej 15 bm. wyjadę do owej Łodzi² przekłętej, na kilka miesięcy.

Czy odbierasz „Głos”? Kazałem go przesyłać za pośrednictwem oficyny Zawiszów, jak mi wskazywałeś. Co słychać w domu, nie wiem, bo ani byłem tam, ani pisałem, ani również odbierałem list od nich. Mania jest u Henryków — po co? dalibóg, nie mam pojęcia, bo wilegiatura nieco chłodna. Ot! niewieście zachcenia! U Kostusiów prawdopodobnie nowości żadnych, byłem trzy tygodnie temu, więc mówię: prawdopodobnie. Co u Was? Łodzian zdrowa? a Ty? Co w Piotrkowie? Wtedy nie wstępowałem do Was, bo z góry mówiłem, że nie będę mógł, ale dlaczego Waler i Mania³ nie byli — no bo Mania zasnęła, Waler pojechał do Tworek i sam, itd.

Całuję Was serdecznie. Czekam rychłego listu i mówię: do widzenia rychłego.

Wasz
Wł. St. R.

Kartka pocztowa. Adres: Wielmożny / Fr. Rejment / przez St. Dr. Ż. W.-W. Pruszków / w Nadarzynie. Adres zwrotny: Nowy Świat 52 m. 21. Stemple: 7 Бажав, 26 I 1896; Прушков, Варш. Г., I почт. отд., 26 I 1896.

¹ Być może, iż chodzi o Helenę Chybińską, zamieszkałą w Warszawie. Zachowało się kilka listów pisarza do niej z lat 1897—1898 (Bibl. Narodowa, rkps 7596).

² Tego zamiaru nie spełnił. Po 15 II 1896 Reymont był w Paryżu. Zob. list I. Matuszewskiego do Reymonta z 23 II 1896 (Bibl. Ossolineum, rkps 6978).

³ Walery Rejment — farmaceuta, stryjeczny brat pisarza; Mania — chyba jego siostra lub żona.

[Łódź,] 15 IV 1896

Drogi Franku.

Daruj, że znowu nie przyjechałem, ale.... zresztą na co się przyda przytaczać powody najrozmaitsze i najlepiej usprawiedliwiające, kiedy te faktu nie zmieniają. Piszę znowu z Łodzi, a raczej jeszcze z Łodzi¹, będę tutaj do 1 czerwca, całe półtora miesiąca jeszcze. Roboty mam po-

wyżej uszów, że mi się to już zaczyna nudzić, a przy tym błoto tu-
tejsze, wiosna tutejsza, ludzie tutejsi — to niech pioruny spala.

W tej chwili dopiero, z nekrologów „Kuriera”, dowiedziałem się, że
Locia umarła!² Dobrze się dla niej stało, bo już się przynajmniej nie
męczy, ale pomimo to jest mi ogromnie żal: w 26 roku życia umierać —
to okropne!

Zdaje się, że już dobiegam połowy życia, więc zbyt często nachodzą
mnie refleksje o śmierci, a boję się jej i chciałbym, żeby przyszła bar-
dzo późno, bo mam tyle do zrobienia jeszcze. Zacząłem dopiero żyć
naprawdę. Wiesz, zdaje mi się, że się nie żenię z panną H.³, a jeśli nie,
to ci teraz to mówię. Chciałbyś wiedzieć, dlaczego? Jest tylko jedna
przyczyna — nie chcę. — Za wcześnie dla mnie małżeństwo. Mam
29 lat i stoję na progu sławy i powodzenia i potrzeba wyteńczyć wszystkie
siły, aby stanąć niewzruszenie w Literaturze, aby zająć w niej miejsce
takie, jakie chcę zająć, tj. pierwszorzędne — otóż żona nieco przesko-
dziłaby, krępowałaby mnie w lotach i w rozmachu samym, byłaby
kulą, a kule zwalniają chód; zresztą, ja poznałem w ostatnich czasach,
że życie porządne, życie w jednym miejscu, życie pokratkowane na
codzienne kłopoty i przyjemności, życie regularne — nie dla mnie; mało,
ale mi takiego życia prowadzić nie wolno, literatura mi tego nie poz-
wala. W sztuce nie ma kompromisów, albo się jej oddasz i będzie Twoją,
albo połowicznie się nią zajmując, zostaje się jej niewolnikiem — otóż
ja chcę i zostanę jej panem, na niewolnika nie urodziłem się.

Dzisiaj, kiedy w literaturze mam cel uświadomiony, do którego dojść
muszę, wszelkie pęta, nawet miłości i majątku, są mi wstrętne i złe,
bo powstrzymują. Pomyślę może kiedyś o żonie, ale wtedy, kiedy mi
to uczynić będzie wolno. Tymczasem muszę zdobywać świat — a to
przyjemniejsze. Zresztą, mój Drogi Franku, życie moje terazniejsze jest
krwawą walką, bo muszę zdobywać i jednocześnie sam i w ciszy muszę
kuć narzędzia do walki, gdy tymczasem moi wszyscy współzapaśnicy
w literaturze przyszli już opatrzeni w broń. Ot, co! Powiem Ci plan mój
najbliższej przyszłości. Przez czerwiec siedzę w Warszawie i odpoczy-
wam. Lipiec, sierpień, wrzesień zaryję się w jakiej norze na wsi, może
nawet u Ojca, i piszę ową sławną łódzką powieść.

Kończę ją i w połowie października, najdalej, jadę za granicę⁴.
Środki będę miał. Muszę, słyszysz, muszę, być trzy lata w świecie;
rok w Paryżu, aby opanować dobrze francuskim i pochodzić nieco do
Sorbonny na filozofię; rok następny w Londynie, dla tego samego pra-
wie, i języka, i nauk społecznych; i ostatni rok albo w Szwajcarii, albo
w Niemczech, albo zresztą na Wschodzie⁵. Przez te trzy lata mam za-
miar nic nie pisać, odpoczywać tylko i nabierać sił do dalszej walki

ostatecznej. Ot, mój plan. Ściskam Cię, przepraszam i mówię do rychłego widzenia. O ile dziewczyny będą w Piotrkowie na weselu, to i ja będę.

Całuję Cię — napisz.

Twój
Wł. St. Reymont

Adres łódzki: / Agencja „Kuriera Codziennego”, Piotrkowska Nr 46, / Wł. St. Reymontowi.

¹ Wyjazd do Łodzi mógł nastąpić około 1 III 1896. Nb. w maju wyjeżdżał Reymont do Berlina i Brukseli (zob. list 28). 18 VI Reymont pisze znowu z Łodzi.

² Eleonora Paulina Sikorska zmarła 13 IV 1896.

³ Ten inicjał potwierdza przypuszczenie przypisu 1 z listu 26.

⁴ Wiadomo, że jeszcze 20 X 1896 był w Warszawie. Zob. list W. Bogusławskiego do Reymonta (Bibl. Ossolineum, rkps 6978).

⁵ Z tych planów jedynie Paryż został zrealizowany, i to nie w pełnym wymiarze.

28

[Berlin, 15 maja 1896]

Franku.

Taką kartą Cię powiadamiam tylko, co się dzieje ze mną, bo na obszerniejszy list absolutnie brak mi czasu. Wyjechałem z kraju najniеспodziej, siedziałem w Berlinie trzy dni, to jest tyle czasu, żeby zwiędzić jako tako wystawę¹, przemoczyć się razy trzydzieści, dostać kataru raz i zanudzać się — bo i tutaj wciąż deszcz, deszcz i deszcz. —

Dzisiaj jadę ekspresem do Brukseli, tam dni dwa; potem na jeden dzień Ostenda, bo z powodu wiecznych kałuż, jakie widzę wszędzie, zapragnąłem zobaczyć dużo wody, całe morze, więc że jest najbliżej nad kanał La Manch[e], tam pojedę, na bardzo jednak krótko: dwa, trzy dni, z powrotem na Monachium i Drezno. Za dwa tygodnie obiecuję sobie być w domu.

Ciekawys celu tej wycieczki? Nie powiem, ale powiem, że przewodnikiem jej jest nuda, nuda, nuda.

Zresztą teraz już po przyjeździe będę u Ciebie. Kończę, całując Was oboje. Na weselu nie byłem, bo mnie nikt nie prosił, tak bardzo nie żałuję wesela, ale żałuję sposobności przesiedzenia z Tobą kilku godzin. Do widzenia. Z Brukseli napiszę.

Twój brat
Wł. St. Reymont

Berlin, 15 V 96

Karta pocztowa z nadrukiem: Savoy — Hotel, Berlin N. W. / Friedrich-Strasse 103 / Deutsche Reichspost Postkarte. Adres: Wielmożny / Frank Rejment / w Na-

darzynie / Pruszków St. Dr. W.-Wiener / Russland — Polen / Nach Aleksandrowo. Stemple: Berlin N. W. [15 V 96]. Прушков, Варш. Г. I почт. отд., 5 V 1896.

¹ Berlińska Wystawa Przemysłowa (Berliner Gewerbe-Ausstellung) w Parku Treptowskim nad Sprewą. Zamierzona na skalę światową (przestrzeń 1 100 000 m²); niepewność sytuacji politycznej oraz nieprzychylność niektórych firm przemysłowych ograniczyła jej perspektywy. Zob. „Tygodnik Ilustrowany” 1896, nr 18.

29

adres zwykły:

rue Rollin 6, Paris, [11 lutego 1897]

Mój Drogi Bracie.

Że mnie nieco niepokoi takie niezwykle u Ciebie milczenie, więc nie czekając odpowiedzi na swój list ostatni, piszę:

Co się z Tobą dzieje?

Jakże ta choroba oczów? Co robisz, jeśli się rozwija dalej? Co ogólnie robisz? Ta niepewność mnie dręczy, bo gdybym był pewnym, że jesteś zdrowym jak zwykle, to miałbym jedno udręczenie mniej. A tych najrozmaitszego kalibru udręczeń mam mnóstwo. Są to wszystko rzeczy nie natury materialnej, a pochodzą jeszcze z życia warszawskiego, są to tamte echa, które mnie gonią aż tutaj i nękają, nękają. Pocieszam się tylko tym, że przecież musi się wszystko kiedyś w ten lub inny sposób zakończyć, że kiedyś będę zupełnie wolnym.

Tymczasem zaś siedzę w tej Francji i uczę się cierpliwie jej nienawidzić i pogardzać nią z całej pasji barbarzyńcy-słowianina, co prawda nie bardzo ją dotychczas znienawidziłem, bo wprost brak mi na to czasu, jestem bowiem zapracowanym niby wół ostatni w polskim dworze. Ową powieść piszę i piszę, urozmaicając robotę marzeniami słodkimi o tym dniu błogosławionym, w którym napiszę „koniec” i postawię datę.

Ale żeby to tylko powieść sama. Moje *Fermenty* drukowane w przeszłym roku w „Bibliotece War.” drukują się obecnie u Anczyca w Krakowie i wyjdą w książce na wiosnę; otóż robię z nich korektę ścisłą — którą mi przysyłają dwa razy tygodniowo z Krakowa, muszę ją spiesźnie robić i odsyłać. A korekta, jeszcze w dodatku własnej książki, i to książki nielubianej, bo sam nie cierpię *Fermentów*, to jest zabawa wymyślona przez diabłów. Po takiej korekcie jest się kilka godzin ogłupiałym; widzi się tylko przecinki, średniki, dwukropki, odsyłacze; myśli się tylko formami gramatycznymi. Oto jak się żyje.

A do tego tysiące interesów i spraw swoich i nie swoich. Pomyśl, że ja samych listów muszę pisywać z pięćdziesiąt na miesiąc¹. Muszę, bo mnie ludzie miłują, a kogo miłują, to i dręczą w specjalny sposób. Muszę

być co tydzień w Paryżu, muszę bywać na rozmaitych posiedzeniach i zebraniach, muszę się przecież czasami puścić w Paryżu, aby zapomnieć o wszystkim choćby na chwilę. Zsumuj sobie te wszystkie musy i prace — a otrzymasz taki plus wysiłonego intensywnego życia, że mu nie każdy podolać byłby w stanie.

Ja wytrzymuję, ale z utęsknieniem myślę o wiosnie, bo skoro tylko skończę powieść, resztę rzucam do diabła i uciekam w świat szeroki na odpoczynek i próżniactwo. Nie mogę już jechać do Hiszpanii, bo tam u brzegów afrykańskich, od strony Tangeru — Dżuma! Czarna pani powiewa swoim woalem na całą południowo-wschodnią Hiszpanię, porty już pozamykano dla okrętów.

Ale wybrałem drogę inną, dłuższą i lepszą. Pojadę z portu w Bordeaux przez Zatokę Gaskońską, Gibraltar na Wschód turecko-arabski. I przez Konstantynopol i Odes[s]ę powrócę do Warszawy. Stanie się to w końcu czerwca dopiero. A tymczasem, jutro nawet, jadę do Szwajcarii, na bardzo zresztą krótko, bo na dni dziesięć. Zebrała się taka szalona paczka, która się wybiera na Jungfrau i Mont-Blanc — zimą. Przyłączyłem się do nich z ochotą, jak zwykle się przyłączam do każdej szalonej *afffaires*, przyłączam się i jadę dlatego, że ta rozkisa, błotnista, zamglona zima francuska już mi sprawia nudności, pragnę zobaczyć śnieg i poczuć trochę mrozu. Na dowód, jakom tam był: „gdzie Aar wody błękitnymi spada”², przyślę Ci kartę korespondencyjną z Jungfrau.

Franku mój drogi, napisz zaraz po odebraniu mojego listu. Nie krępuj się, że mnie w domu nie będzie, listy mi przyślą do Lucerny. Przypuszczam, że będziesz na weselu Jani. O, bawcie się wszyscy dobrze. Napiszę do niej, ale już chyba ze Szwajcarii. Ucałuj wszystkich ode mnie. Całuję Cię wraz z Łodzią najserdeczniej, życzę Ci z całej duszy zdrowia i powodzenia.

Do widzenia rychłego.

Twój brat
Wł. St. Reymont

Quarville, 11 II 97

Łodziu! Rodzicom i Siostróm ode mnie pozdrowienia i ukłony.

R.

¹ W porównaniu z tą informacją 500 ocalałych listów Reymonta przedstawia się bardzo skromnie. Tu trzeba dodać, że archiwum Reymonta spaliło się w Bibl. Narodowej (ponad 1000 listów) oraz w Bibl. Uniwersytetu Warszawskiego, nie licząc zbiorów prywatnych, które również uległy zagładzie w czasie drugiej wojny światowej.

² Cytat z J. Słowackiego *W Szwajcarii* (w. 8).

Quarville, 4 III 1897 r.

6. Rollin. Paris — do 1 kwietnia

Mój Drogi Franku!

Dobrze zrobiłeś pisząc do mnie, bo już zaczynałem się niepokoić o Ciebie, albowiem na dwa listy pisane z Francji i jeden ze Szwajcarii — czekałem odpowiedzi i nie mogłem się doczekać.

Więc Ci dziękuję za list i za wiadomości w nim zawarte.

To dobrze, że Jania wyszła za mąż, skończyły się kłopoty z nią i o nią, a teraz ona sama nareszcie musi myśleć o sobie. A myślę, że ona będzie umiała dawać sobie radę, ona ma dużo rozsądku.

Pisałem do niej z Lucerny, pisałem na chybił trafił, nie wiedząc dobrze terminu ślubu, ale mi jeszcze nie odpisała — miodowe miesiące, więc się nie dziwię.

Dziwię się tylko temu, że Ojciec się zgodził na ową pożyczkę, bardzo się dziwię! Musiała mu już Janka ciążyć potężnie, że chwycił się tego bądź co bądź heroicznego środka, pożyczki. A znowu nic się nie dziwię Mundziowi, że pożyczył na lichwiarski procent, no bo 10% w czasach obecnych należy stanowczo uważać za procent lichwiarski. Mundeczek jest *limited*, to stadko zwykłych prosiąt, mających tylko tę jedyną zaletę, że tego prosięstwa nie ukrywają.

Bóg z nimi.

A co do pomocy Jani, a raczej jej mężowi¹, zrobię wszystko, co będę mógł, ale dopiero podczas pobytu w kraju, latem, bo na listowne załatwie[nie] podobnych spraw nie liczę. No i muszę wiedzieć coś o tym szwagrze naszym.

Bardzo chciałbym, abyś rzucił ten podły Nadarzyn i te jeszcze podłejsze warunki obecnego życia, bo jestem pewnym, że Twoja choroba w tym ma źródło. Nie mniej również pragnąłbym, aby Mania nareszcie wzięła się do czego. No i wiele, wiele rzeczy pragnąłbym dla Was wszystkich, a mogę tylko, niestety, pragnąć jedynie, nie mogąc niczym przyczynić się do tego dobra.

U mnie nowego nic.

Powróciłem ze Szwajcarii i znowu siedzę w tym swoim Quarvill[e]’ju i piszę dalej ową słynną *Ziemię obiecaną* — piszę i marzę już o jej skończeniu, ale ta chwila jeszcze strasznie daleko, a tymczasem bawię się listami, jakie przychodzą do mnie z Łodzi, listami, które mi wymyślają niezbyt grzecznie i obiecują wprost lanie. Cóż robić, oni się burzą i protestują — to do nich należy, a do mnie należy to czytać, listy rzucać w piec i pisać dalej, bez względu na słodkie obietnice. Swoją drogą, powieść owa robi wielki rumor w kraju, a jeszcze większy

w Łodzi². „Kurierowi Co[dziennemu]” przybyło od Nowego Roku 1000 prenumeratorów w samej Łodzi, tylko dla powieści. Pisali mi to sami wydawcy, wspaniałomyślnie, nie proszeni, podnosząc moje honorarium z 5 kop. od wiersza na 7.

Tak więc widzisz, że coś robię i jakoś sobie radę daję w świecie, i mam tę pociechę, że praca moja nie idzie na marne, no i tę przyjemność, że jestem zupełnie wolny, że życie pędzę takie, jakie mi się podoba.

W Quarvill[e']u będę do końca marca, bo od kwietnia przeniosę się z powrotem do Paryża. Wynająłem bowiem wczoraj mieszkanie, bardzo ładne 3 pokoje z kuchnią, przedpokojem i wszystkimi wygodami, bo i z kuchnią gazową, ale za to osobna opłata — za 600 franków, czyli za 220 rubli rocznie, jest to bajecznie tanio. Będziemy mieszkać we dwóch. Zdecydowałem się bowiem obrać Paryż jako główną swoją siedzibę na czas dłuższy, albowiem stąd mogę robić wycieczki we wszystkie strony. Mieszkanie będę trzymał stale, aby mieć swój własny kąt, gotowy mnie przyjąć w każdej chwili, no i zacznę się meblować. Tutaj jest tak łatwo powoli, stopniowo dojść do wspaniałych gratów, że wczoraj w Paryżu zapoczątkowałem meblowanie, kupując sobie dla przyszłego pokoju jedwabne bordo obicie; kosztuje 150 franków z rozpłatą po 10 fr. miesięcznie. W Paryżu bowiem jest niesłychanie łatwo o kredyt. Kto ma mieszkanie, ten ma kredyt nieograniczony, na najwygodniejszych warunkach. Obicie to, które kupiłem, ma tę podwójną wartość, że można go rozpiąć na ścianach i zdjąć wyprowadzając się. Że zaś tak dawno marzyłem o pięknym mieszkaniu, więc myślę teraz marzenia urzeczywistnić. A że się tak stanie, w to wierzę, ponieważ większość rzeczy, jakie pragnąłem, spełniała się i spełnia.

Ale się nie śmieję ze mnie, że Ci mówię o mieszkaniu. Cóż chcesz, starzeję się, a co z tym idzie, statkuję się. Ożenić się pewnie nigdy nie ożenię, więc potrzeba to swoje sieroce życie oprawić w ramy o ile można najpiękniejsze.

W Szwajcarii byłem dwa tygodnie, przejechałem ją wzdłuż i wszerz, robiliśmy szalone wycieczki na góry, szalone, bo nikt zimą tam się nie puszcza. Kraj jest istotnie cudowny i, jak tylko można sobie wyobrazić, ucywilizowany. W Genewie siedziałem dłużej, u patriarchy naszej literatury, u T. T. Jeża. Niesłychanie zacny dom posiadający najpiękniejsze w Szwajcarii córki. A że mnie tam znano i ceniono, i przyjęto z całą serdecznością, więc mi było dobrze.

W końcu kwietnia wybieram się do Anglii na kilka tygodni. Są to wycieczki odpoczynkowe, urządzone pomiędzy jednym a drugim rozdziałem powieści. Jeśli trzymasz „Kuriera W[arszawskiego]”, toś musiał czytać, co tam na cześć moją powypisywał Choiński³.

Ciekaw ja jednak jestem, ile Ciebie i całą moją rodzinę obchodzą

moje sukcesy literackie? Czy Wy mnie zawsze jeszcze w myślach traktujecie jak syna marnotrawnego i zgubionego człowieka? Boć to już *Pismo święte* mówi: że Jerozolima kamionuje swoje proroki! O Tobie nie mówię, ale cała rodzina nie bierze mnie wcale w rachubę, a jeśli bierze, to więcej ubolewała nade mną, niż istotnie się interesowała. Ja nie mam do nich pretensji, bo, mój Boże, jak żądać zdania głuchych o muzyce!

No, ale dosyć. U nas mamy taki marzec, tak ohydny marzec, jakiego i w Polsce się nie widuje. Wiatr od Atlantyku, rodzaj bory⁴, wieje od trzech dni, zimno piekielne, zimno wilgotne, bo deszcz pada i pada. Pomimo to — wszystkie zboża już posiano i robota w polach wre.

Więc jak czas mieć będziesz, a zechcesz do tego, to pisz. Proszę o to bardzo, ale pisz obszernie i o wszystkim.

Żonie całuję ręce, a Ciebie ściskam z całej siły i życzę Wam obojgu zdrowia i wszelkiego dobra.

Wasz brat
Wł. St. Reym.

Lociu! Pisząc do Piotrkowa, bądź tak dobrą i załącz Im ukłony ode mnie.

R.

¹ Feliks Makowiecki. Zob. list 25, przypis 8.

² Powieść wzbudziła niebywałą sensację jako krytyka świata przemysłowego w Łodzi. O rozgłosie jej świadczy m. in. fragment listu Reymonta do M. Kiniorskiego z 25 III 1899 (Bibl. Miejska w Bydgoszczy, rkps 451): „Zawiadomiono mnie dzisiaj z Łodzi, że tam pomiędzy prasą niemiecką a polską rozgorzał niebywały hałas i kłótnia zawzięta *à propos Ziemi*. [...] w »Rozwoju« [...], niezależnie od kłótni z »Zeitungiem« łódzkim, kłóci się kilku ludzi. Jedni bronią, a drudzy atakują. Podobno najlepiej wyjdzie na tym mój wydawca”. Zob. też „Tygodnik Warszawski” 1947, nry 5, 19.

³ T. Jeske-Choiński („Komediantka”. „Kurier Warszawski” 1897, nr 57) pisze: „przybył nareszcie naszej literaturze pięknej talent nie tylko niepospolity, lecz trwały, posiadający wszystkie warunki dalszego rozwoju”.

⁴ Suchy i zimny wiatr wiejący z północnego wschodu na wybrzeżach wschodnich Morza Adriatyckiego i Czarnego.